Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT • NR 6 (1846) • 6–12 lutego 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl df91f9383b

WOJNA DOMOWA

Portale społecznościowe zalały czarno-białe zdjęcia prezesa z podpisem: „Wczoraj wieczorem, o godzinie 22, Jarosław Kaczyński zmarzł w szpitalu”. Byłoby to odrobinę bardziej zabawne, gdyby tej zimy w 20. gospodarce świata nie zamarzło już 40 osób. Co by było, gdybyśmy byli gospodarką 50.?

Donald Tusk rozpoczął wtorkową Radę Ministrów od Jeffreya Epsteina. Zacytujmy dosłownie, bo było to dość zaskakujące: „Chciałbym powiedzieć, że każdy przyzwoity człowiek – i mam nadzieję, że tak jest dzisiaj w Polsce – powinien wykluczać jakiekolwiek relatywizowanie kwestii pedofilii. To jest zbrodnia przeciwko dzieciom. Można się spierać na różne tematy, ale przecież każdy w domu ma siostrę, wnuczkę, córkę, dwunastolatkę, więc każdy wie, o czym mówimy”. Z tym, że „każdy ma w domu”, to premier nieco przesadził – w trzech czwartych domów w Polsce nie ma dwunastolatki ani żadnej innej „słodkiej przynęty” (tak premier przetłumaczył termin *honey trap* – jak działalność Epsteina nazywa brytyjski brukowiec „Daily Mail”). Albowiem tylko 25,6 proc. polskich gospodarstw domowych wychowuje dzieci. Co szef rządu mógłby wiedzieć. Na szczęście premier szybko wyjaśnił, że tak naprawdę nie chodziło mu o dzieci, tylko o ruskich szpiegów.

À propos: MON z dumą ogłosiło, że aresztowało sobie szpiega. Domniemany szpieg pracował w MON od lat 90., ale zaistniał spór, w jakim charakterze. Co ciekawe, spór ten toczy się wewnątrz PiS. Michał Dworczyk uważa, że sprawa „naprawdę jest poważna”, bo szpieg szpiegował „w Departamencie Strategii i Planowania Obronnego”, który jest do dupy, ale mimo to „kluczowy”. Dworczykowi odpowiedział Błaszczak: że gra w orkiestrze rządowej, bo departament za jego czasów miał same sukcesy, a do dupy to jest szpieg, skoro podejrzenia obudził fakt, iż zameldował w MON, że nie może wrócić z urlopu, bo Tusk zamknął granicę z Białorusią. Rząd starannie odmawia odpowiedzi, czyjego szpiega zamknął – choć media oczywiście wiedzą, że musiał być ruski albo białoruski. Milczenie rządu do pewnego stopnia tłumaczy wiceminister Tomczyk: „Myślę, że dzisiaj wywiady takich państw jak Rosja zastanawiają się, ile dokumentów, które otrzymały, było nieprawdziwych – i słusznie się zastanawiają”. A my sobie myślimy, że wywiady takich państw jak Rosja to wiedzą, czy szpiega jeszcze mają, czy już go zamknęli, więcej cała ta przemyślna gra wywiadowcza jest psu na budę.

I jeszcze o ruskich szpiegach: prezydent zwołał Radę Bezpieczeństwa Narodowego, gdzie jednym z trzech punktów obrad mają być „podjęte przez organy państwa działania, mające na celu wyjaśnienie wszelkich okoliczności wschodnich kontaktów towarzysko-biznesowych Marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego”. Generalnie fakt, że RBN ma się zajmować czyimś życiem towarzyskim, wydaje nam się podważać powagę tej instytucji, ale śpieszymy z wyjaśnieniami, bo wiemy: inkryminowane „wschodnie kontakty” to żona naszego redakcyjnego kolegi Wojtka Mittelstaedta, Swietłana. Swietłana jest historykiem sztuki, pracuje w domu aukcyjnym, który – donosi z najwyższą ekscytacją prawicowy internet – sprzedał kiedyś autograf Putina. Nie posiadamy się z oburzenia, ale przy okazji wyjaśniamy (bo pojawiły się pytania), że prowadzona przez Wojtka rubryka „Sportek” nie zniknęła z łamów w ramach oczyszczania się redakcji ze wschodnich kontaktów. Wojtek leczy nogi w szpitalu, jak wyleczy, to do nas wróci. I jeszcze chcemy nadmienić, że to nie wina Mittelstaedta, że pracownica „reżimowego domu aukcyjnego” ma polski paszport: Swietłana ma polskie korzenie, przyjechała tu z Kartą Polaka i zdała egzamin na obywatelstwo. Tak wyjaśniamy, żeby nie było na nas.

Na poświęcony sobie (i Swietłanie) punkt obrad RBN marszałek Czarzasty odpowiedział własnym. Cytujemy za pismem szefa Kancelarii min. Siwca: „wyjaśnienie charakteru kontaktów Prezydenta Karola Nawrockiego ze środowiskami pseudokibiców oraz osobami powiązanymi z przestępczością zorganizowaną” oraz „wyjaśnienie przeszłej pracy Prezydenta w charakterze ochrony w Grand Hotel Sopot, który w latach 90. i na początku XXI wieku był miejscem spotkań przedstawicieli świata przestępczego i ewentualnej nielegalnej działalności”. Riposta jest, obiektywnie rzecz biorąc, niezła – ale serio? Czy to jest naprawdę ten poziom dialogu między prezydentem Rzeczypospolitej a marszałkiem sejmu, na który wszyscy liczymy? „Nic nie zmieni mojego postępowania w stosunku do pana, nie zejdę z linii rozsądku i dystansu” – ogłosił chwacko Czarzasty, zwracając się do Nawrockiego przez kamery. Chyba inaczej rozumiemy „dystans”.

Choć – dla wyrównania – czujemy się w obowiązku docenić heroiczną odwagę marszałka Czarzastego, który zdecydował się nie podpisywać gotowca z wnioskiem o Nobla dla Trumpa, jaki przysłali mu z Kongresu i z Knesetu. Zwłaszcza że PiS dostało pierdolca. „Jeżeli jego przeszłość pezetpeerowską dołożymy do tego, że chce być recenzentem prezydenta Stanów Zjednoczonych, to proszę mi wybaczyć, że ja uznaję to za komiczne” – ogłosił Tobiasz Bocheński, który ponoć bardzo chce być premierem, więc musi się starać. Pana Bocheńskiego śmieszy, że marszałek Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej podejmuje suwerenne decyzje, a nie działa pod dyktando innych marszałków? A gdzie patriotyzm u pana europosła? Ech, te brukselskie miazmaty. Na koniec Bocheński porównał kumpla Epsteina do papieża Polaka: „W polskim sejmie byli również przedstawiciele innych państw, był Jan Paweł II”… A gdyby ktoś sądził, że mu się chlapnęło, to się okopał: „Donald Trump – i to podtrzymujemy – jest symbolem konserwatywnej, prawicowej zmiany na świecie, która – mamy głęboką nadzieję – będzie się przetaczała przez Europę”. Nie spodziewaliśmy się, że kiedyś to powiemy, ale jesteśmy oburzeni w imieniu Jana Pawła II. Czego by o nim nie mówić, przez 26 lat na stanowisku głowy państwa nie zbombardował żadnego kraju, a Trump przez 11 miesięcy – siedem. A ponadto Karol Wojtyła, mimo że niewątpliwie był gwiazdą, może nawet większą niż Trump, nie łapał nikogo za cipę. O ile nam wiadomo.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Styczeń–luty 2014 r.

Świętej Martyny

Ktoś oddał na aukcję na rzecz orkiestry Owsiaka książkę „Jerzy Urban” spisaną przez Stremecką, a wydaną przez oficynę Czerwone i Czarne z akcentem na to drugie. Dzieło opatrzone moim autografem wylicytowanie zostało za 1150 zł. Co za wstyd! Niektóre moje podpisy warte są wiele milionów i przywykłem do tego.

Świętej Marceli

Do Azora przyszła z wizytą suka Lula (imię zmienione ze względu na stosunki polityczne na osiedlu, gdzie Lula robi kupy). Azorek ma wycięte jaja (nakaz zdrowotny weterynarza), a co za tym idzie – usunięty pociąg płciowy. Pomimo to tańczył wokół suki na sprężynujących czterech łapach i nie kradł jej poczęstunku. Jest to dowód na gender, proszę Joanny Szczepkowskiej, aktorki zakochanej w księdzu Oko. Azor wychowany był na samca i po stracie atrybutów kulturowo nim pozostał.

Świętej Marceli (cd.)

Zanim „Jack Strong” wszedł na ekrany, rozpoczęła się ponowna kanonizacja Ryszarda Kuklińskiego uprawiana m.in. przez reżysera Pasikowskiego i prawicową prasę. Pasikowski nie rozumie, że ci, których zdradził Kukliński, gasili pożar w stodole palącej się w jego „Pokłosiu”.

Świętej Eli

Moja żona Daniszewska, trzeźwa czy pijana, trze sobie swój piękny brzuch zgrzebłem dla koni, wierząc, że on od tego stęchnie. Próżno pokazuję jej zdjęcia koni, nawet wyścigowych, które mają wypukłe brzuchy. Trudno – lepiej, że wierzy w zgrzebło, niż by miała wierzyć w Boga. Jakaś wiara jest jej widocznie potrzebna. Nawet Azor się śmieje, a to smutas. Tymczasem każdy wypukły brzuch jest piękny, jeżeli tylko nie kryje ciąży.

Prezentacji Chrystusa

Macierewicz zażądał ochrony dla Artura Wosztyla, dowódcy Jaka-40, który tuż przed rozbitym Tu-154 wylądował ryzykownie w Smoleńsku. Macierewicz uważa, że ciemne moce mogą go zamordować. Ochrona ma jednak sens: należy chronić samoloty przed ryzykownym pilotażem Wosztyla.

Świętego Jana Bosko

– założyciela Salezjanów. „Podczas procesu beatyfikacyjnego świadkowie opisywali wypadki uzdrowienia ślepych, głuchych i chromych, sparaliżowanych i nieuleczalnie chorych oraz wskrzeszenia co najmniej jednego umarłego. Jan Bosko miał dar bilokacji, czytania w sumieniach ludzkich oraz dar przepowiadania przyszłości” – zapewnia „Gazeta Polska Codziennie”, organ niezależnego słowa. Ja się nie kłócę. Wszechobecny Sakiewicz przy tym był i daje świadectwo.

Świętego Błażeja

Radni z Łap wzięli sprawę w swoje ręce i uchwalili bezwzględną walkę z gender. Daniszewska jako studentka zameldowana była w powiecie Łapy i spędzała tam wakacje w Niewodnicy, za przeproszeniem Kościelnej, poczta Trypucie. Obserwując jej obecną męską władczość i arogancję, przyznaję, że dewoci z Łap uznawać to mogą za przerażające objawy choroby gender.

Świętej Weroniki

Zagadka: jak się nazywa były sekretarz Komitetu Centralnego PZPR, który teraz w tygodniku „W Sieci” (nr 5) opublikował następujące opinie? (Dla ułatwienia podajemy, że w III RP był oligarchą prasowym i lansował Leszka Millera). Cytaty:

– „W PRL od samego początku władza była z sowieckiego nadania (…) Dzisiaj w Polsce wszystko się zmieniło, by zostać po staremu. Rosja poprzez rozbudowaną agenturę wpływu w mediach, zwłaszcza w telewizji oraz w środowiskach kultury i nauki, decyduje de facto, kto sprawuje władzę w Polsce. Rządzą tak naprawdę nie ci, którzy formalnie są przy władzy, lecz ci, którzy kontrolują media przez swoich agentów (…) W telewizji od czasów PRL rządzą całe pokolenia agentury wpływu z dokooptowanymi użytecznymi idiotami dziennikarstwa.

– Cel pozostaje ten sam: wyrwać kotwicę polskości, jaką jest Kościół katolicki.

– Dziś można powiedzieć, że paradoksalnie smoleńska tragedia wzmocniła Platformę, co świadczy o akceptacji przez większość naszej ograniczonej suwerenności. Tusk zachował się w tej sytuacji tak, jak zachowaliby się Jaruzelski, Gierek czy Gomułka. Rosyjski politolog Andriej Piontkowski stwierdził na łamach „Super Expressu”, że zależność Tuska od Putina jest jednak większa niż Gomułki od Chruszczowa lub Gierka od Breżniewa. Zatem i w tym przypadku kopia jest lepsza od oryginału i pomunizm przewyższył komunizm. Katastrofa smoleńska to kolejna sowiecka operacja, w której trakcie usunięto niezawisłego prezydenta oraz znaczną część elit wojskowych i politycznych. Rosja po raz kolejny w brutalny sposób pokazała granice naszej suwerenności i pozycję Polski”.

Świętego Gastona

Propozycja dla Janusza Palikota via poseł Andrzej Rozenek, który ma dostęp do ucha przywódcy. Zaproponować nowelizację budżetu Polski na rok 2014. Z działu wydatków na siły zbrojne wyjąć miliard i przeznaczyć na pomoc dla Ukrainy po zawarciu porozumienia Majdan–Janukowycz i podpisaniu układu stowarzyszeniowego z UE. Wezwać wszystkie kraje Unii Europejskiej i USA do uczynienia tego samego w kwotach proporcjonalnych do swego potencjału.

Świętej Agaty

Piszę dla rządu projekt darmowego elementarza: Ala ma syfa, a jej syf raka. Arłukowicz wyleczył Alę. Azor zjadł raka. Adaś jest na Facebooku. Ala robi mu loda albo dwa. Adaś i Azor bzykają Alę analnie. Analnie, czyli na pieska, nie powstaje ciąża, z której rodzą się dzieci. Antykoncepcja też zapobiega zajściu, a umysłowa chroni przed wpływami szkoły. Alfons to przyszły pracodawca Ali. Agata ma kutasa, bo zachorowała na gender. Alik to kutas Agaty. Przymierzam się do litery „B”…

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Melania Trump** wypuściła kubki do popcornu ze swoją podobizną. Najpierw z tego kubełka korzystał Epstein, potem Donald Trump.
- **Unia Europejska** chce zakazać owijania walizek folią na lotniskach. Nie będzie nam Bruksela mówić, czy założyć gumę na instrument!
- **Gmina Będzino** ostrzega przed dużym dzikim kotem, prawdopodobnie pumą lub gepardem. Nie radzimy wychodzić z domu paniom w futrach.
- W **Roztoczańskim Parku Narodowym** pojawiły się miliardy „śnieżnych pcheł”. Biorąc pod uwagę ich liczebność, to nie orzeł powinien być godłem Polski.
- Jak informuje **radiomaryja.pl,** menopauza przypomina chorobę Alzheimera. Kiedyś to się stare baby paliło na stosach i był spokój.
- **Dominik Tarczyński** powiedział, że gdyby miał żonę, to byłby kandydatem PiS na prezydenta. Ciekawe, dlaczego taki przystojny chłopiec jest jeszcze wolny.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Znienawidzić lub walczyć

Jerzy Giedroyc, dyrektor paryskiej „Kultury”, powiedział o nas Polakach niepochlebne zdanie: „właściwie to jest straszny naród ci Polacy. Lecz jakie są wyjścia? Albo ten naród znienawidzić i odejść od niego zupełnie, albo starać się przy całej beznadziejności walki walczyć, by był inny. Wybrałem tę drugą drogę”. Od jego wypowiedzi minęły dziesiątki lat i nadal jest ona aktualna. W 1992 roku Pan Jerzy pytany, kiedy odwiedzi Polskę, odpowiedział: „Nigdy”.

Mieszkam w Polsce już 65 lat i też mam bardzo negatywne zdanie o nas, Polakach. Jesteśmy bardzo skłóconym narodem. Praktycznie są dwie Polski, katolicka i postępowa liberalno-socjaldemokratyczna. Typowy Polak to ksenofob, rasista, homofob, antysemita podlany dużą ilością alkoholu. Moim zdaniem kluczową sprawą, że jesteśmy nieciekawą nacją, jest właśnie religia katolicka. To ona ma ogromny wpływ na to, że nie może dokonać się postęp społeczny w kierunku państwa obywatelskiego opartego na otwartości, tolerancji i humanizmie. Cóż więc pozostaje nam, według Kaczyńskiego Polakom drugiego sortu, jak nie tylko walczyć, by zmienić nasze społeczeństwo?

Najważniejsze, co trzeba osiągnąć i bez zdecydowanej walki się nie obejdzie, to świeckie państwo i jego pełny rozdział od naszego okupanta – Kościoła katolickiego. Myślę, że inna Polska jest możliwa, więcej: inna Polska jest konieczna.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

Mieszko I nie uwierzył

Z wielkim oburzeniem przeczytałem w ostatnim „NIE”, że na Pl. Zbawiciela ma zostać postawiony wielki krzyż. Mieszkam w Bydgoszczy i mało mnie to obchodzi, ale początki chrześcijaństwa w Polsce to wielka hańba, a nie okazja do świętowania. Trzeba przypomnieć klechom, że Mieszko I przyjął chrześcijaństwo z powodów politycznych, a nie że uwierzył w „nieistniejącego”. A i tak Polanie czcili naturę i duchy przodków, a na Śląsku i w Wielkopolsce były bunty przeciw chrystianizacji (…).

prof. dr hab. Aleksander Szwedek, professor emeritus

eprasa.pl df91f9383b

Miliarderzy i nędzarze



Raport Oxfam ujawnia skandaliczne nierówności

Ilustr. KRZYSTOF OLEJNIK

Iznów okazuje się, że Karol Marks miał rację. Jako pierwszy odkrył, że w dzikim kapitalizmie – pozbawionym ingerencji państwa – bogaci się bogacą, a biedni biednieją. Co więcej, dowiódł ponad wszelką wątpliwość, że fakt, że na świecie są ludzie zamożni i ubodzy, to tylko część problemu, prawdę mówiąc, wcale nie najważniejsza. Istotniejsze jest, że jedni są bogaci dzięki temu, że inni są biedni.

Wiele wskazuje na to, że obecnie żyjemy w świecie największych w dziejach ludzkości nierówności ekonomicznych. Ukazał się właśnie raport na temat globalnych nierówności międzynarodowej humanitarnej organizacji pozarządowej Oxfam, pokazujący, że po raz pierwszy liczba dolarowych miliarderów przekroczyła 3000, a ich majątek jest większy niż kiedykolwiek. Warto się mu przyjrzeć bliżej, potraktować jako przewodnik po rzeczywistości, która dla nielicznych jest rajem, a dla większości piekłem.

Parszywa dwunastka

12 najbogatszych ludzi na naszej planecie zgromadziło majątek większy niż biedniejsza połowa ludzkości – ponad 4 mld ludzi. Jak to nie jest świat oligarchiczny, to nie wiem, co nim jest.

Oto garść faktów, jakie ujawnił Oxfam.

W 2025 r. bogactwo miliarderów wzrosło trzy razy szybciej niż średnia roczna stopa wzrostu w ciągu poprzednich pięciu lat.

Miliarderzy 4000 razy częściej niż zwykli ludzie piastują stanowiska polityczne.

Kraje o największych nierównościach są nawet siedem razy bardziej narażone na erozję demokracji niż kraje, w których panuje względna równość.

Miliarderzy tylko w ciągu ostatniego roku wzbogacili się o tyle, że mogliby każdemu człowiekowi na ziemi kopsnąć 250 dolków – i nadal byliby o pół biliona dolarów bogatsi niż rok wcześniej.

Przestrzeń cyfrowa stała się nowym polem bitwy ekonomicznej. Elon Musk, pierwszy człowiek, którego majątek przekroczył pół biliona dolarów, nabył w 2022 r. Twittera (którego następnie przemianował na X). Ingerencja Muska w funkcjonowanie portalu miała wymierny skutek: o 500 proc. wzrosło użycie obraźliwych określeń rasowych i mowa nienawiści wobec kobiet czy osób transpłciowych. I to nie koniec „efektu Muska”. W Kenii organy ścigania wykorzystały platformę do śledzenia i porywania protestujących i krytyków rządu. W czerwcu 2025 r. Albert Omondi Ojwango, który opublikował na X krytykę zastępcy inspektora generalnego policji, trafił do aresztu, w którym go zakatowano. Wcześniej ludzie publikujący antyrządowe zdjęcia na platformie Muska byli porywani na ulicach kenijskich miast. W aresztach poddawano ich torturom.

W trzeciej dekadzie XXI w. ubóstwo globalnie utrzymuje się na stałym poziomie – choć w Afryce ponownie wzrasta. Co czwarta osoba na świecie boryka się z umiarkowanym lub poważnym brakiem bezpieczeństwa żywnościowego. Myliłby się ten, kto by sądził, że to problem biedoty Globalnego Południa – brak bezpieczeństwa żywnościowego dotyka 92 mln osób w Ameryce Północnej i Europie, które należą wszak do najbogatszych regionów świata.

A kogo dotyka najbardziej nierówność? Jak czytamy w raporcie: „Kobiety i osoby niebiałe dominują w najniżej opłacanych i najgorzej chronionych zawodach, a także rzadziej mają prawa do ziemi. Kobiety wykonują codziennie około 12,5 miliarda godzin nieodpłatnej pracy opiekuńczej, dodając co najmniej 10,8 biliona dolarów do wartości światowej gospodarki”.

Oxfam pokazuje, jak za pieniądze buduje się władzę polityczną: „Superbogaci zbudowali swoją władzę polityczną na trzy główne sposoby: kupując politykę, inwestując w legitymizację władzy elit oraz uzyskując bezpośredni dostęp do instytucji. Miliarderzy i superbogaci od dawna wykorzystują swoje ogromne bogactwo do kupowania polityków i partii politycznych (…). Badanie World Values Survey wykazało, że prawie połowa wszystkich ankietowanych osób uważa, że bogaci często kupują wybory w swoim kraju”.

Amerykańskie wzorce

Jak wiadomo, przykład płynie z góry, czyli z krynicy wolności, demokracji, praw człowieka i Coca-Coli.

Oficjalne dane Rezerwy Federalnej pokazują, że w USA doskonale ma się zjawisko zwane „gospodarką w kształcie K” – od rozjeżdżającego się tempa wzrostu, którego wykres przypomina wielkie „K”: bogatsi wystrzelili ostro w górę, biedni lecą w dół. W trzecim kwartale zeszłego roku 1 proc. najbogatszych gospodarstw domowych posiadał 31,7 proc. całego amerykańskiego majątku; to najwyższy odsetek od 1989 r., kiedy zaczęto prowadzić statystyki. W posiadaniu 1 procenta były aktywa o wartości 55 bln dol. – czyli mniej więcej tyle, ile do kupy ma 90 proc. biedniejszych Amerykanów. Górny decyl – 10 proc. najbogatszych – odpowiadał za prawie połowę wydatków konsumenckich w kraju.

I problem nie ogranicza się do wydatków konsumenckich. Co szósty dolar wydany na kampanię wyborczą w 2024 r. pochodził z kieszeni setki miliarderów.

Polska jest zapatrzona w Amerykę, w końcu – jak mówi prezydent Nawrocki – to nasz najważniejszy sojusznik. Toteż i nie dziwota, że także majątek Polaków jest silnie skoncentrowany. Wedle raportu o nierówności społecznej (World Inequality Report) z grudnia zeszłego roku: 10 proc. najbogatszych Polaków posiada 62 proc. całkowitego bogactwa, w tym 1 proc. najbardziej majętnych – aż 30 proc. Dokładnie połowa Polaków ma dług większy niż wartość majątku.

O tym, jak to się przekłada na życie ludzi, czytamy na stronie internetowej Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, gdzie zwrócono uwagę na kwestie edukacyjne i zdrowotne: „Decentralizacja finansowania edukacji i przeniesienie częściowego obowiązku jej finansowania na lokalne władze samorządowe sprawia, że zamożność gminy wpływa na poziom wyposażenia szkół oraz jakość kadry nauczycielskiej”, a „koncentracja kapitału pozytywnie wpływa także na jakość i dostępność usług medycznych, dzięki czemu mieszkańcy metropolii mogą korzystać z lepszej opieki zdrowotnej niż pozostali Polacy”.

Przekładając na to na język banalny: bogaci mają szansę być mądrzejsi (a przynajmniej lepiej wykształceni) i zdrowsi, a biedni są systemowo wręcz skazani na to, by być głupszymi, gorzej wyedukowanymi, a na dodatek – bardziej chorymi, co przekłada się nieodmiennie na szybszą śmierć. Do dziś pamiętam pewną konferencję naukową, na której epidemiolożka – opierając się na oficjalnych statystykach – wskazywała, że w Warszawie mieszkający w najbogatszych osiedlach żyją średnio 12 lat dłużej od biedaków.

Odpowiedź na pytanie zawarte w tytule właśnie opublikowanej po polsku książki Zygmunta Baumana „Czy bogactwo niewielu służy nam wszystkim?” jest banalnie prosta. Nie służyło, nie służy i nigdy nie będzie służyć. Kropka. Polski myśliciel w sposób niepozostawiający najmniejszych wątpliwości wykazuje, że „zróżnicowanie pozycji społecznych, zdolności, uprawnień i nagród” nie odzwierciedla „różnic w przyrodzonych uzdolnieniach oraz zasługach jego członków dla ogólnego społeczeństwa”.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie neguje nierówności między ludźmi – także w sferze umiejętności dorabiania się. Niemniej jednak większość bogatych jest majętna nie dzięki swym zdolnościom, lecz dzięki przodkom. A przecież już kilkadziesiąt lat temu lewicowy liberalny filozof Bertrand Russell zwrócił uwagę, że dziedziczenie majątku i pozycji społecznej jest skamieliną po czasach feudalnych, epoce ścisłych podziałów społecznych i dynastii królewskich.

W dzisiejszym świecie brednią jest stwierdzenie, że bogactwo bierze się z pracy. Prawdziwe bogactwo bierze się z majątku, o czym wiedzą wszyscy polscy milionerzy – włącznie z parlamentarzystami – którzy wynajmują innym po kilka czy kilkanaście mieszkań, a ich konta z papierami wartościowymi regularnie puchną.

Władza tak jak narkotyk

Anja Orthodox z zespołu Closterkeller przed laty śpiewała:

„Władza tak jak narkotyk.
Władza to wielka siła.
Rodzi miłość i lęk,
Czasami też zabija!”.

Kiedy w szkole podstawowej uczy się dzieci – za liberalnym myślicielem Monteskiuszem – że w państwie powinien istnieć trójpodział władz (jak spaliście na lekcjach, to przypominam: ustawodawcza, wykonawcza i sądownicza), to jest to grube oszustwo. Oczywiście Polska jest doskonałym przykładem, że ten trójpodział jest w dużej mierze fikcją, politycy zaś wyznają zasadę wyłuszczoną przez matkę Pawlaka z „Samych swoich”, która wręczając mu granat, stwierdziła: „Sąd sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie”.

Nie trzeba mieć profesury z ekonomii, socjologii czy politologii, aby wiedzieć, że pieniądz jest formą władzy społecznej. Akumulacja pieniędzy jest tożsama z akumulacją władzy. Jest to prawdą w gminie na Podkarpaciu, gdzie lokalny bonzo wygrywa wszelkie przetargi, i w Stanach Zjednoczonych, gdzie oligarcha Musk twardą ręką pilnuje, aby państwo mu dupę miodem smarowało, umożliwiając jeszcze większe bogacenie się.

Rodzimi „demokraci” wciąż gardłują za wzajemną kontrolą i równowagą władz, ale ani się nie zająkną, że władza ekonomiczna też powinna być ograniczana i kontrolowana. Nie, Tusk brata się z miliarderem Brzozką, pod jego dyktando zmienia prawo, i jeszcze się tym chwali.

Twór, jakim jest – choć może raczej: była – demokracja liberalna, opiera się na połączeniu demokracji i kapitalizmu. Wpisana w nią jest sprzeczność, z której zdają sobie sprawę wszyscy trzeźwi obserwatorzy. Naczelną zasadą demokracji jest, że każdy człowiek ma jeden głos, kapitalizmu zaś – że każdy dolar (czy tam euro lub złoty) to jeden głos.

Jasne jest, że dwaj menele spod budki z piwem mogą w demokracji przegłosować jednego profesora, co skądinąd ma dobre uzasadnienie, bo skutki rządów wybranych przedstawicieli będą odczuwali wszyscy trzej. Jakkolwiek nie mamy większego wpływu na to, co robią politycy, gdy już dorwą się do żłobu, raz na kilka lat możemy wybrać innych: może lepszych, może gorszych, często nie tych samych, choć takich samych. Daje to nam jednak jakąś minimalną kontrolę nad nimi.

A nad miliarderami nie ma najmniejszej kontroli społecznej. Co więcej, ich majątki zapewniają ogromne wpływy polityczne. Gdy państwo ukazuje swoją sprawczość, tropiąc samotne matki, które za parę groszy sprzedają w internecie używane ciuchy, bogacze wynajmują najlepsze kancelarie prawne, aby okradać państwo z należnych mu pieniędzy, co określa się eleganckim mianem optymalizacji podatkowej. A w owych kancelariach nieraz pracują – za grubą forsę – osoby, które chwilę wcześniej prawo podatkowe pisały. I nikt nie zadaje pytań, w czyim interesie tworzyły one gąszcz przepisów, które udupiają słabych, a dają pole do popisu silnym.

Marks stwierdził, że prawdziwe demokratyczne – czyli socjalistyczne – społeczeństwo, będzie się kierować regułą: każdemu według potrzeb, od każdego według możliwości. Potrzeby większości ludzi na świecie i w Polsce nie są zaspokojone, a jeśli miliarderom dalej będzie się pozwalało realizować swoje możliwości nieograniczonej akumulacji kapitału, to czeka nas ponura przyszłość.

Przypominam, że nieco ponad 100 lat temu tak było w Rosji, a potem przyszli bolszewicy. Lepiej dla wszystkich, żeby hiperzamożnym odebrać miliardy po dobroci, zanim przyjdą wściekli barbarzyńcy, którzy bez mrugnięcia okiem wrzucą ich do dołów z wapnem niegaszonym…

ZUZANNA JURCZYŃSKA

eprasa.pl df91f9383b



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Czy Duda się uda?

Salony Andrzeja

Waszyngtoński think tank Heritage Foundation zaprosił do współpracy Andrzeja Dudę. Po co najbardziej wpływowemu amerykańskiemu ośrodkowi badawczemu najsłabszy w historii prezydent Polski?

Można powiedzieć, że Andrzej Duda wreszcie znalazł porządną robotę. Były prezydent po przejściu na polityczną emeryturę starał się nie spleśnieć. Wydał książkę „To ja. Andrzej Duda", próbował swoich sił w Kanale Zero Krzysztofa Stanowskiego, założył z małżonką spółkę komandytową „PAAD" i został członkiem rady nadzorczej fintechu ZEN.com. Książka okazała się równie kiepska jak prezydentura Dudy, umiejętności dziennikarskie bliskie zeru, a firma ZEN.com znalazła się pod lupą Banku Litwy w związku z podejrzeniem prania pieniędzy. Jak widać, nawet eksgłowie państwa niełatwo odnaleźć się na rynku pracy. Wreszcie z godną majestatu Dudy propozycją przyszli Amerykanie.

Projektanci

Nie jest to klasyczny etat, a rola ekspercka, Andrzej Duda zostanie bowiem „ekspertem wizytującym" odpowiedzialnym za: bezpieczeństwo transatlantyckie, gotowość obronną Europy, odporność demokratyczną i rekomendacje polityczne dla projektowanego przywództwa konserwatywnego w Europie. Co się pośmialiśmy, to nasze, choć think tank zza oceanu to wcale nie popierdółka.

Heritage Foundation to organizacja, która przed wygraną Donalda Trumpa opracowała plan na pierwszy rok prezydentury konserwatywnego przywódcy. HF zebrało samo gęste z prawicowych organizacji i stworzyło Projekt 2025, który w dużym skrócie można nazwać instrukcją przejęcia amerykańskiego państwa przez trumpizm i wprowadzenia ultrakonserwatywnej rewolucji obyczajowej. Co zakładał plan? Wzmocnienie władzy prezydenta przez zniszczenie szeregu bezpieczników ustrojowych, rozmontowanie mechanizmów kontroli i instytucji regulacyjnych czy osłabienie wymiaru sprawiedliwości i organów ścigania. Ponadto w Projekcie 2025 pojawiły się stare, dobrze znane kawałki o wzmocnieniu tradycyjnej rodziny i podporządkowaniu temu polityki zdrowotnej (czyt. rekomendacje ograniczenia prawa do skrobanek i antykoncepcji), uwalenie zielonej transformacji w energetyce i przemyśle, ograniczenie edukacji, imigracji i działalności organizacji pozarządowych.

Według projektu amerykańska współpraca z Europą powinna się opierać na poddańczej pozycji Starego Kontynentu, który powinien spełniać oczekiwania USA w zakresie handlu, regulacji i obronności. Wystarczył rok pod rządami Trumpa, żeby się przekonać, jak dobrze plan zażarł.

Z punktu widzenia administracji amerykańskiego prezydenta, dla której Heritage Foundation jest intelektualnym zapleczem, doświadczenia Andrzeja Dudy są bezużyteczne. Na cholerę zatem go tam zaprosili?

Stategia korpo

Think tanki często zatrudniają politycznych emerytów, żeby wykorzystać ich wpływ na debatę publiczną bez pośredniego zaangażowania partyjnego. Dla przykładu działający przy Uniwersytecie Stanforda konserwatywny Instytut Hoovera ściągnął do swoich szeregów byłą sekretarz stanu USA w administracji Busha Condoleezzę Rice. To zresztą nie tylko amerykańska praktyka. W Europie za przechowalnię byłych prominentnych polityków służą paneuropejskie rady doradcze, nadzorcze lub gremia honorowe. To powszechna praktyka nazwana doradztwem, która pomaga w budowaniu wpływów, sieci kontaktów i lobbingu.

Nie inaczej jest w przypadku Dudy, choć trochę bardziej mizernie. Były prezydent nie będzie doradzał jako błyskotliwy intelektualista-lobbysta, a jedynie legitymizował działania HF. Mało kto w Stanach Zjednoczonych zada sobie trud, żeby badać jego polityczną aktywność z czasów prezydentury. Sama nazwa ostatniego miejsca pracy wystarczy za poświadczenie, he he, prestiżu. Heritage Foundation wystawiła Dudzie całkiem zgrabną laurkę. „Były prezydent Polski Andrzej Duda dołączył do organizacji jako wybitny profesor wizytujący. (…) Podczas swojej prezydentury Duda pełnił funkcję głowy państwa jednego z najważniejszych strategicznie państw członkowskich NATO. Odegrał znaczącą rolę we wzmocnieniu polskiej pozycji obronnej, zwiększeniu zobowiązań sojuszniczych w zakresie wydatków na obronę oraz zacieśnieniu współpracy między państwami demokratycznymi w obliczu wzmożonego ryzyka geopolitycznego" – napisano w komunikacie fundacji.

Raczej główki niż głowy, bo właściwy organ zarządzający prezydentem zasiadał na Nowogrodzkiej, ale też kto zza oceanu będzie się wgryzał w meandry polskiej polityki?

Odzyskać niepodległość

Heritage Foundation buduje także siatkę współpracy między ultraprawicowymi organizacjami w Europie. W kraju nad Wisłą do jej partnerów należy znany i mało lubiany Instytut Ordo Iuris. W marcu ubiegłego roku przedstawiciele katolickich fundamentalistów i węgierskiego Collegium Mathiasa Corvinusa spotkali się z Fundacją Heritage w Waszyngtonie, gdzie przedstawili plan „Wielkiego resetu" Unii Europejskiej.

Celem tych piruetów jest przecięgnięcie poszczególnych krajów Europy na prawo, by – w miarę możliwości – zainstalować w ich rządach wzorowanych na Trumpie populistów z szerokimi uprawnieniami, żeby osłabić Unię Europejską i jej instytucje.

Osłabienie UE przez wewnętrzne podziały mogłoby otworzyć drzwi dla amerykańskich umów handlowych z poszczególnymi krajami europejskimi zamiast negocjacji z silną Brukselą. Nie wspominając o jeszcze większej zależności krajów unijnych od USA w kwestii obronności i smarkatych konsekwencji geopolitycznych.

Prawo i Sprawiedliwość od długiego czasu zapowiada wzmocnienie urzędu prezydenta jako element szerszej zmiany ustroju po ewentualnym powrocie prawicy do władzy. To nie jest już tylko retoryka, a realne prace koncepcyjne. Sam prezydent Nawrocki w orędziu inauguracyjnym w sierpniu ubiegłego roku perorował o nowej konstytucji, na mocy której rola prezydenta stałaby się kluczowa.

Wiewiórki donoszą, że Duda będzie łącznikiem między „myślą amerykańską" a kancelarią Nawrockiego. Heritage i Ordo Iuris tu i tam przebąkiwały, że Trump powinien pomóc Polsce „odzyskać niepodległość".

Niezła fucha, Andrzej, tylko szef znowu wariat.

IDALIA DUBICKA

Premier przypisał Epsteina do Kremla

Donald Tusk powołał specjalny zespół ds. Jeffreya Epsteina – usłyszała Rada Ministrów, wraz z nią cała Polska. Szef rządu dostrzegł bowiem, że „coraz więcej śladów, coraz więcej informacji, coraz więcej komentarzy w całej światowej prasie dotyczy podejrzenia, że ta bezprecedensowa afera pedofilska była współorganizowana przez rosyjskie służby specjalne".

Premier powołał się przy tym na „znanego szkockiego dziennikarza Andrew Marra", który „zadał kluczowe pytania".

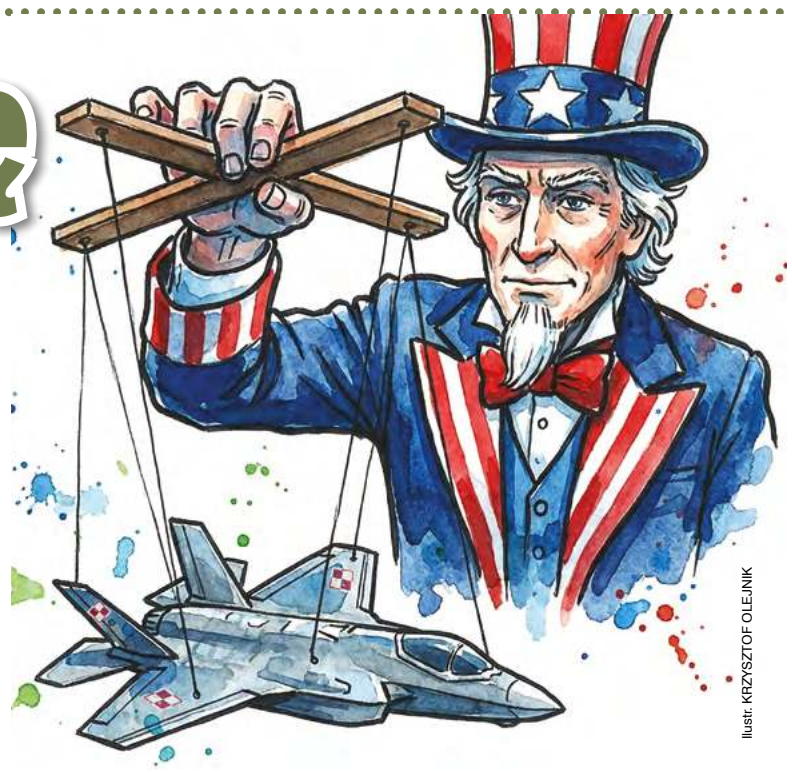
Posłuchajmy zatem Marra i jego występu w komercyjnym radiu LBC.

Marr: „Chcę zacząć od rosnących podejrzeń dotyczących rosyjskich kontaktów Epsteina. Miał on nieograniczony dostęp do pieniędzy – skąd one pochodziły? Stręczył wiele rosyjskich dziewcząt – dlaczego było to dla niego takie łatwe? Ujawnione archiwa zawierają ponad tysiąc dokumentów, które odnoszą się do Władimira Putina i dziewięć tysięcy odnoszących się do Moskwy. FBI mówi, że był on zarządcą majątku Putina. Epstein archiwizował wszystkie swoje informacje, filmował i nagrywał potężnych zachodnich liderów, i to w głęboko kompromitujących sytuacjach – dlaczego? Czy nie powinniśmy choć rozważyć, czy nie była to operacja KGB?".

To teraz Tusk: „Rosną z dnia na dzień coraz bardziej podejrzenia o powiązania Epsteina i całego tego kręgu pedofilskiego z rosyjskimi służbami specjalnymi. Pan Epstein miał najwyraźniej nieograniczony dostęp do wielkich pieniędzy, ciągle niewyjaśnione są źródła i pochodzenie tych pieniędzy. Współpracował z bardzo wieloma młodymi Rosjankami, które były przez niego stręczone, taki był początek tego biznesu; nikt nie umie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego było to tak łatwe, tak w świetle reflektorów de facto. W dotychczas opublikowanych dokumentach jest ponad tysiąc dokumentów dotyczących bezpośrednio Władimira Putina, dziewięć tysięcy dotyczących Moskwy – mówię o środowisku politycznym rosyjskim. FBI

Zdani na laskę

Celowniki optyczne w wojskowych karabinach pokazują to, co pozwalają pokazać Stany Zjednoczone.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Tydzień temu Gadzinowski rozpisywał się o tym, jak to chińskie sprzęty codziennego użytku – telewizor, pralka, samochód – mogą służyć jako narzędzia inwigilacji. Wszystko cacy, ale czy problemem są tylko Chiny?

Bo to, że Polska wprowadza dziś zakaz wjazdu chińskich aut do jednostek wojskowych, brzmi w tym kontekście jak próba zabezpieczenia spichlerza po tym, jak złodziej wyniósł już połowę zapasów. Najzabawniejsze, że to bzdura, bo nie chodzi tu o markę. I nawet jeżeli auto ma znaczek Tesli czy Mercedesa, ale jego procesory lub moduły komunikacyjne zostały wyprodukowane w Shenzhen – to problem jest ten sam. Bo chińska produkcja nie kończy się na naklejce z nazwą firmy. Jest obecna niemal wszędzie, bo globalny rynek elektroniczny od dawna opiera się na podzespołach z Państwa Środka. Dlatego pytanie nie powinno brzmieć: „czy pozwalać chińskim autom wjeżdżać na teren jednostek wojskowych?", tylko: „czy jakiekolwiek auto w ogóle powinno się tam znajdować?".

Totalna inwigilacja

Ale czy samochody to jedyny problem? Bo jeśli auto, które parkuje przed bazą wojskową, może być szpiegiem, to co z telefonem, który w tej bazie dzwoni? Co z lodówką, która codziennie łączy się z siecią, żeby dostarczyć właścicielowi przepis na sos czosnkowy? Co z telewizorem, który analizuje, jak długo patrzymy w ekran? Co z asystentem głosowym, który nie wie, kiedy powinien przestać słuchać?

I tutaj właśnie pojawia się interesująca konstatacja, że nie jesteśmy szpiegowani przez Chińczyków, tylko przez system, który sami zbudowaliśmy. System, który mówi, że każda nowa technologia musi być „smart", że każde urządzenie musi się „uczyć", a każdy użytkownik musi być „dopasowany do oferty". Nie chodzi już tylko o to, co Chińczycy mogą, ale o to, na co każdy z nas zgadza się w imię wygody.

Do tego, by zrezygnować z jakiejkolwiek elektroniki z baz wojskowych, jednak jeszcze nie dojrzeliśmy. Na razie więc Izrael usunął chińskie samochody elektryczne z baz wojskowych. Australia i Wielka Brytania wycofały chińskie kamery z urzędów. W USA zakazano używania dronów z chińskimi procesorami przez armię. Unia Europejska zapowiada strategię „fazy wycofywania" technologii wysokiego ryzyka. Czyli czego? Czegokolwiek, co pochodzi z Chin i łączy się z siecią?

Wszystko to tworzy obraz świata, który przestaje wierzyć, że technologia to tylko technologia. Coraz więcej państw patrzy na elektronikę jak na potencjalne zagrożenie. Nie z powodu konkretnych funkcji, ale z powodu ich integracji z danymi, których nie kontrolujemy. Bo gdzie trafiają te dane? Kto je analizuje? Kto może do nich sięgnąć, kiedy sytuacja stanie się naprawdę poważna?

Świat, który tworzymy, nie potrzebuje już kamer na słupach, żeby nas obserwować. Wystarczą mu urządzenia, które sami ustawiamy na szafce nocnej.

Smycz za miliardy baksów

Jest jednak coś znacznie bardziej niepokojącego. Coś, co nie pasuje do prostego podziału świata na złych Chińczyków i dobry Zachód. A co sprawia, że pytanie o bezpieczeństwo przestaje dotyczyć lodówki, a zaczyna dotyczyć państwa. Bo jeśli naprawdę mielibyśmy się bać elektroniki, to powinniśmy zacząć nie od sprzętu z Chin, lecz z Ameryki. Tego, który kupiliśmy od Wuja Sama za dziesiątki miliardów dolarów i który w razie potrzeby może okazać się nie nasz.

Wyobraźmy sobie bowiem sytuację, która dziś przestała być fantazją. Że Stany Zjednoczone wpadną na to, że Polska jest dla Ameryki problemem, a nie sojusznikiem. Że polskie interesy są sprzeczne z interesami Waszyngtonu. Czy Polska byłaby w stanie się bronić? Odpowiedź brzmi: niekoniecznie.

Zacznijmy od symbolu polskiej obrony powietrznej. Od systemu Patriot. Od tarczy, która miała chronić polskie niebo przed rakietami, dronami i wszystkim, co przyleci ze wschodu. W oficjalnych folderach Patriot jest dumą nowoczesnej technologii. W praktyce jest komputerem. Bardzo zaawansowanym komputerem, który musi wiedzieć, co robi. A żeby wiedział, musi dostać dane, aktualizacje, konfigurację. I – co najważniejsze – zgodę.

W świecie nowoczesnej broni nie istnieje już pojęcie „samodzielnego użycia". Rakieta nie jest tylko metalową rurą z materiałem wybuchowym. Jest algorytmem. A algorytm ktoś musi zatwierdzić. Jeżeli więc Patriot ma działać w pełnym zakresie, musi być zintegrowany z amerykańskim systemem dowodzenia, rozpoznania i identyfikacji celów. Bez tego jest tylko drogim eksponatem. W tym sensie każdy Patriot jest jak pies na smyczy. Może biec, ale tylko tam, dokąd pozwoli właściciel.

Kod poddaństwa

Jeszcze bardziej jaskrawym przykładem jest F-35 – najdroższy samolot bojowy w historii, dumna wizytówka NATO i symbol polskiej modernizacji armii.

W folderach reklamowych F-35 jest cudowną maszyną. W rzeczywistości jest latającym centrum danych. Jego

eprasa.pl df91f9383b



Czyj ten pedofil?

Rys. OBYWATEL JANEK

dzi, że dysponowało informacją, że pan Epstein zarządzał częścią majątku Władimira Putina. Wiadomo, że Epstein archiwizował wszystkie swoje wiadomości, maile, dokumenty, archiwizował filmiki i zdjęcia, nagrywał i filmował wpływowych zachodnich przywódców, prezydentów, premierów, liderów największych firm światowych. Coraz więcej i komentatorów, i ekspertów zakłada, że jest bardzo prawdopodobne, że była to przygotowana operacja rosyjskiego KGB"…

Kilka kwestii.

Po pierwsze: tłumaczenie przyzwoite, nawet jeśli przegadane; widać, że nauka angielskiego u pana premiera nie poszła w las.

Po drugie: czy nie byłoby lepiej, żeby premier polskiego rządu, wygłaszając przed Radą Ministrów i całym narodem oświadczenie na temat rosyjskich działań szpiegowskich, opierał się na pracy polskich służb specjalnych, a nie na koncepcie jednego dziennikarza, usłyszanym w radiu, które za wiarygodne źródło informacji uznało 14 proc. odbiorców (według sondażu YouGov z 2023 r.)?

Po trzecie: na pytanie o źródła bogactwa Epsteina wyczerpująco odpowiedział choćby „New York Times" w bardzo długim tekście zatytułowanym: „Oszustwa, intrygi, bezwzględne przekręty: nieznana historia bogacenia się Jeffreya Epsteina" z grudnia zeszłego roku. „NYT" opisuje krok po kroku, jak Epstein, kłamiąc, że posiada dyplom wyższej uczelni, zatrudnił się jako nauczyciel matematyki w prestiżowym liceum, skąd – dzięki protekcji ojca jednego z uczniów – trafił do banku inwestycyjnego Bear Stearns. Szef banku lubił zatrudniać ludzi, których nazywał „PSD" – biednych, bystrych, z głębokim pożądaniem bogactwa. Epstein spełniał te warunki, a do tego był klinicznie pozbawiony moralności: wymyślał bardzo kreatywne, choć niekoniecznie legalne sposoby unikania podatków, wykorzystywał poufne informacje na giełdzie, okradał pracodawców i klientów, których kontami zarządzał, a przy okazji zbudował siatkę kobiet otwartych na przygodne spotkania i dealerów narkotykowych, zaspokajając wszystkie potrzeby swoich możnych protektorów. Jednym z przełomowych wydarzeń była piramida finansowa, którą stworzył pod koniec lat 80., ze Stevenem Hoffenbergiem – razem wydymali inwestorów na pół miliarda dolarów – ale prawdziwy skarbiec otworzył się przed Epsteinem, kiedy (w bliżej nieznany sposób) omotał Lesa Wexnera. Miliarder, twórca takich marek jak Limited i Victoria's Secret, pozwolił Epsteinowi w nieograniczony sposób korzystać ze swojego majątku. W sumie: źródła bogactwa Epsteina, jakkolwiek szemrane, są dobrze zbadane.

Po czwarte: „rosyjskie" – a precyzyjnie: radzieckie – KGB nie istnieje od 35 lat, czego brytyjski dziennikarz może nie wiedzieć, ale polski premier powinien.

Po piąte: FBI nie „mówi" ani nie „twierdzi", że Epstein zarządzał majątkiem Putina. Ta rewelacja pochodzi z jednej notatki z 2017 r. odnoszącej się do jednej rozmowy z jednym świeżo pozyskanym agentem, w której pojawia się jedno zdanie: „Epstein był zarządcą majątku prezydenta Władimira Putina i świadczył taką samą usługę dla prezydenta Zimbabwe Roberta Mugabe". Więcej do powiedzenia agent ma na temat „prywatnego hakera Epsteina", Włocha z Kalabrii, który „dostał kufer gotówki od Hezbollahu, przewiózł ją do Szwajcarii i umieścił w banku". Haker – zdaniem agenta – napisał też tajemniczy program, który sprzedał rządom różnych krajów, ale nie z Azji, „bo był rasistą". Był także antysemitą, choć niewykluczone, że miał paszport izraelski i irański, w dodatku do „paszportu Miasta Watykan". Z tonu notatki można wywnioskować, że agenci FBI nie mają zbyt wygórowanego zdania o wiarygodności źródła.

Premier Tusk nie ogranicza się wszakże do red. Marra: powołuje się na „coraz więcej i komentatorów, i ekspertów", a także „coraz więcej komentarzy w całej światowej prasie". Obok radia LBC tego typu teorie rozsiewają głównie tabloidy: „Daily Mail", „The Sun", „New York Post". Nie są to być może źródła, na których premier rządu RP powinien budować swój światopogląd.

Ale skoro już jesteśmy przy teoriach spiskowych dotyczących szpiegowskich powiązań Jeffreya Epsteina – to kilka faktów.

Jeffrey Epstein był bliskim przyjacielem i współpracownikiem byłego premiera Izraela Ehuda Baraka; ich układy biznesowe rozwinęły się, gdy Barak był ministrem obrony. Wcześniej – co warto odnotować – był też szefem wywiadu wojskowego Aman. „Wall Street Journal" doniósł, że Barak odwiedzał Epsteina na Florydzie i w Nowym Jorku ponad 30 razy, długo po jego pierwszym skazaniu za przestępstwa seksualne.

Epstein współpracował z Barakiem przy podpisywaniu porozumienia o współpracy w sprawie bezpieczeństwa między Izraelem a Wybrzeżem Kości Słoniowej i Mongolią; pomagał też w zawieraniu umów na zakup izraelskiego uzbrojenia oraz technologii wywiadowczych przez Mongolię. Bliski współpracownik Baraka, wysoki oficer izraelskiego wywiadu wojskowego, a później nieformalny łącznik między służbami USA i Izraela Yoni Koren tygodniami mieszkał w apartamencie Epsteina na Manhattanie. Epstein skontaktował Baraka z indyjskim miliarderem Anilem Ambanim znanym z bliskich układów z premierem Narendrą Modim; spotkanie to przygotowało grunt pod wizytę Modiego w Izraelu. Jest też korespondencja wskazująca na udział Epsteina w umowie gazowej między Izraelem i Egiptem; pomógł on zorganizować spotkanie między premierem Netanjahu i przedstawicielami banku JPMorgan zaangażowanego w finansowanie eksploatacji złoża gazu Leviathan. I wreszcie, rzeczywiście, nazwisko Epsteina pojawia się w kontekście rosyjskim – ale, jak to ująć, z drugiej strony. Otóż Epstein doradzał Barakowi w sprawie zorganizowania prywatnego spotkania z Putinem w trakcie syryjskiej wojny domowej. O spotkanie zabiegała strona izraelska, która liczyła na przekonanie prezydenta Rosji, żeby zgodził się na odsunięcie od władzy Baszszara al-Asada.

Wszystkie te wydarzenia – i wiele innych, zbyt zawiłych, żeby wyjaśniać je w tak krótkim tekście – łączy jedna cecha: były to działania zgodne z interesem Izraela. Epstein wspierał finansowo różne proizraelskie organizacje, przekazując na nie miliony dolarów. Angażował się przeciwko krytykom Izraela – np. doradzał Alanowi Dershowitzowi przy kampanii czarnego PR wymierzonej m.in. w Johna Mearsheimera, po jego publikacji na temat wpływów lobby izraelskiego w USA. I wreszcie – ryzykując, że zabrzmię antysemicko – Jeffrey Epstein był Żydem, potomkiem żydowskich emigrantów z Europy Wschodniej.

No ale „kompromaty" (ulubione radzieckie słowo polskich elit) na pewno zbierał w interesie Rosji.

Dlatego Rosja ma teraz takie trzymanie na cały kolektywny Zachód, że jest całkowicie bezkarna. Może napadać sąsiadów i nadal mieć wsparcie finansowe, militarne i dyplomatyczne najważniejszych krajów Zachodu. Może popełniać zbrodnie przeciw ludzkości i nie podlegać żadnym sankcjom.

Może mordować cywilów i nadal bez przeszkód kupować zachodnią broń. Może uprawiać apartheid bez strachu przed międzynarodowym ostracyzmem czy choćby wykluczeniem z rozgrywek sportowych. Może bombardować szkoły i szpitale, i nikomu nie przyjdzie do głowy zamrożenie jej aktywów. Może prowadzić wojny napastnicze – i równocześnie interesy na całym świecie. Może szantażować demokratyczne władze różnych krajów do tego stopnia, że krytyka Rosji w tych krajach zostaje uznana za przestępstwo, a wspieranie antyrosyjskich organizacji bywa karane więzieniem.

A nie, czekajcie, to nie Rosja…

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

sercem nie jest silnik, lecz oprogramowanie.

„Kupiliśmy potwornie drogi samolot F-35. To maszyna, która jest tak naszpikowana technologią, że bez zgody Amerykanów nic już nie będziemy mieli do powiedzenia w kwestii jej użycia" – mówią mediom polscy oficerowie. Bo wiedzą, że wszystkie kluczowe kody znajdują się za oceanem. Dane misji przetwarzane są na serwerach producenta. Aktualizacje oprogramowania kontrolowane są przez Amerykanów. Nawet drobna modyfikacja wymaga kontaktu z producentem.

I jeśli Trump uzna, że pociski na Moskwę mają nie lecieć, to one nie polecą. Abramsy też nie pojadą. To zdanie brzmi jak przesada? Tylko do momentu, gdy zrozumiemy, czym jest współczesna broń.

Błaszczak, wspominając kiedyś o kodach do HIMARS-ów, których Polska nie ma i mieć nie będzie, powiedział zapewne więcej, niż chciał. Bo nowoczesna broń to komputer obudowany metalem. Karabin, czołg, samolot, rakieta – wszystko działa pod kontrolą oprogramowania. To oprogramowanie decyduje, co jest celem, kto jest wrogiem, kiedy wolno strzelać, a kiedy nie.

Duszą takiej broni jest kod źródłowy. Zapis działania programu. To instrukcja, która mówi komputerowi, co robić. Kod wynikowy, którego użytkownik już nie rozumie i nie kontroluje. Może korzystać z funkcji, ale nie wie, co dzieje się w środku. Więc ten, kto kontroluje kod źródłowy, kontroluje także broń. Dlatego państwa, które nie mają dostępu do kodów źródłowych, nie mają pełnej kontroli nad własnym uzbrojeniem.

W przypadku F-16 sytuacja jest podobna. Choć wiele państw używa tych samolotów, tylko nieliczne mają dostęp do oprogramowania. Izrael otrzymał go od USA. Turcja zdobyła go wysiłkiem inżynierii wstecznej. Polska nie ma żadnego dostępu. Mamy maszynę, z którą nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Możemy jej tylko używać według instrukcji.

Izrael jest jedynym krajem, który w relacjach z USA wynegocjował coś, co dla innych jest nieosiągalne. Został dopuszczony do „kręgu zerowego" F-35. Ma możliwość ingerencji w kody źródłowe, integracji własnego uzbrojenia, modyfikacji oprogramowania. Może samodzielnie decydować, co jego samoloty robią. Dlaczego? Bo Izrael nie zgodził się na status klienta. A my – bez wahania.

Izraelczycy zadbali o pełną kontrolę nad łącznością, kryptografią, serwisem i częściami. Dlatego w ich czołgach Merkava działają czasem 20-letnie radiostacje – bo są ich własne. Nikt nie może ich wyłączyć. Polska tego nie zrobiła.

Oficjalnie nikt nie potwierdził istnienia „kill switcha" – zdalnego wyłącznika broni. Oficjalnie to teoria spiskowa. Nieoficjalnie – problem, o którym wojskowi mówią w prywatnych rozmowach.

Ale nawet jeśli *kill switch* nie istnieje, jego funkcję może pełnić brak aktualizacji, brak części zamiennych, brak danych, brak sygnału satelitarnego. Żeby go wyłączyć, wystarczy jeden telefon z Pentagonu. I nikt nigdzie nie wystartuje ani nie wystrzeli.

Problem dotyczy nie tylko Polski. Europa jako całość uzależniła swoje bezpieczeństwo od amerykańskiej technologii. F-35 stał się fundamentem obrony NATO. Dwanaście państw europejskich zamówiło te maszyny.

Chińska mikrofalówka może wiedzieć, kiedy jemy kolację. Samolot decyduje, czy Polska może prowadzić wojnę. Lodówka może wysłać dane. System uzbrojenia może zostać wyłączony decyzją polityczną.

Strach przed chińską inwigilacją jest wygodny, bo jest prosty. Ma jednego wroga. Strach przed amerykańską kontrolą jest niewygodny, bo podważa fundament sojuszu. Tymczasem rzeczywistość jest taka, że Polska kupiła nie tylko broń. Kupiła zależność.

I to mimo że Doktryna Cyberbezpieczeństwa RP mówi wprost, że największe ryzyko wiąże się z używaniem zinformatyzowanych systemów obcej produkcji bez dostępu do kodów źródłowych. Ale co tam doktryna, skoro szefem BBN jest facet zachowujący się jak lobbysta amerykańskiej zbrojeniówki.

TADEUSZ JASIŃSKI

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

To nieprawda, że Dominik Tarczyński ma na drugie imię Dariusz, przez co inicjały imion i nazwiska nie brzmią jak dichlorodifenylotrichloroetan (DDT), popularny kiedyś środek na malarię, tyfus i owady-szkodniki.

Tarczyński jest eukariontem, czyli organizmem żywym zwanym również jądrowcem, co jednak nie oznacza, że ma jakieś szczególnie okazałe cojones. Przeciwnie. Jest typem strunowca, posiada strunę grzbietową, cewkę nerwową, gardziel przebitą szczelinami skrzelowymi, serce (przy uzasadnionych wątpliwościach wielu uczonych) i ogon w zaniku.

Kolejny fejk: Tarczyński żywi się odchodami Donalda Trumpa. Nic podobnego. W rzeczywistości żeruje na naiwności politycznej wyborców i słabości przywódców PiS-u. Wydziela enzym nienawiści oraz żółć służącą do wchłaniania tłuszczów, a w osobliwych wypadkach do odwszawiania.

Porozumiewa się przedniojęzykowymi pierdnięciami, zwartoszczelinowym chrumkaniem i szelestami, jakie zwykle wydają wije, pluskwy i karaczany. Tylko odbiorcy o wyjątkowo wrażliwym słuchu byli w stanie ostatnio zrozumieć to, co Tarczyński wykaszlał po zamordowaniu Alexa Prettiego przez rzeźników z ICE: „ICE zrobił dobrą robotę w Stanach Zjednoczonych". A potem dodał, chrumkając i popierdując: „Jak Bóg da i będzie wola, wrócę do Polski pracować w ministerstwie deportacji, bo to jest teraz moim zdaniem najważniejsze".

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl df91f9383b

Miłość w czasie zarazy

Czy chcecie, aby Ukraińcy powrócili do siebie?



Rys. MARCIN CHUDZIK

Już cztery lata przychodzi milionowi uciekinierów wojennych z Ukrainy mieszkać w Polsce. Czasem bliżej, czasem dalej z Polakami. Dzięki temu trochę już się poznaliśmy, a przeprowadzane badania opinii publicznej sugerują, co Polacy i Ukraińcy naprawdę o sobie myślą. Choć nie zawsze chcieliby głośno o tym powiedzieć. Dlatego wszystkim polecam publikowane właśnie raporty Centrum Mieroszewskiego. Dzięki nim nasza zwykle intuicyjna wiedza dostaje poważne odsyłacze.

Co my NATO

Nadal ponad połowa, bo 52 proc. ankietowanych obywateli polskich, popiera członkostwo Ukrainy w NATO. Przeciwnych jest 24 proc. Ale przeciwnicy stale rosną w ostatnich latach. Zapewne ich sprzeciw wynika z lęku przed wciągnięciem NATO i Polski do wojny z Rosją, wysłaniem naszych żołnierzy na front.

Za to wojna Ukraińców z Rosją bywa powszechnie akceptowana przez polskich obywateli, ale pod warunkiem, że walczą ze sobą tylko nasi słowiańscy sąsiedzi. Gdyby zaczęli ginąć tam Polacy, nastroje pacyfistyczne wzrosłyby w Polsce od razu. Tak zresztą było w USA w czasie wojny wietnamskiej i w ZSRR podczas wojny z Afganistanem. Nic dziwnego, że wśród Ukraińców popularne są opinie, że Polacy wspierają ich w wojnie, bo traktują Ukraińców jak polisę ubezpieczeniową wobec zagrożenia pożarem rosyjskiej agresji. Dlatego Polacy goszczą Ukraińców i na ich wojnę z Rosją regularnie płacą.

Paradoksalnie to polskie poparcie dla walczącej Ukrainy i jej północnoatlantyckich aspiracji stale podgrzewają antypolskie agresywne wypowiedzi rosyjskich liderów politycznych i publicystów. Lekceważące pęczniejących teraz z dumy Polaków. Każdy przejaw starej imperialnej buty wielkorosyjskiej to dodatkowy argument na polsko-ukraiński mariaż. Choćby tylko z rozsądku. Ciekawe, jak zmieniłyby się w Polsce nastroje, gdyby w rosyjskiej Dumie powstała Partia Przyjaciół Polski?

Również 52 proc. przebadanych przez Centrum Mieroszewskiego obywateli polskich popiera przyszłe członkostwo Ukrainy w UE. Ale tu mamy już litanię argumentów i warunków stawianych wobec Ukrainy: „tak, bo tego wymaga bezpieczeństwo Europy"(15 proc. poparcia), „tak, gdy tylko Ukraina spełni kryteria" (20 proc.) oraz „tak, gdy Ukraina spełni kryteria i rozwiąże problemy z Polską na tle historii i gospodarki" (17 proc.).

Wielu Polaków pamięta długą drogę Polski do UE. Pewnie niejeden popierający Ukrainę uważa też, że prognoza „gdy tylko spełni pełni kryteria i rozwiąże problemy z Polską na tle historii i gospodarki" to synonim ad Calendas Graecas. Integracji Ukrainy z UE nie chce 25 proc. badanych Polaków. To wzrost od grudnia 2024 r. Zdania w tej kwestii nie ma 23 proc. badanych.

Ankietowani przez Centrum obywatele polscy musieli też ustalić priorytety polityki państwa polskiego wobec Ukrainy. Ocenić ich ważność w skali od 1 do 10. Najważniejszymi, na poziomie 7, uznano sprawy pochówku polskich ofiar ukraińskich nacjonalistów, zwłaszcza na Wołyniu. Drugim w w skali ważności okazała się popularyzacja polskiej kultury i języka polskiego wśród Ukraińców (6,3). Na trzecim uplasował się postulat zaprzestania upamiętniania przez państwo ukraińskie osób lub formacji odpowiedzialnych za popełnione w przeszłości zbrodnie na Polakach (6,2). Dopiero jako czwarte wskazano „ułatwienie działania polskiego biznesu na Ukrainie" (6,2).

Potwierdza się, że w polskiej polityce i mediach ton relacjom z Ukrainą nadal nadają historyczne krzywdy i ofiary walk sprzed 80 już lat. Kresowe resentymenty, misje krzewienia polskiej kultury na Wschodzie.

Jednocześnie w polskich mediach stale obecne jest typowo polskie dziamgolenie i biadolenie prognozujące, że kiedy już nastąpi ta odbudowa Ukrainy, to kasę zarobią Niemcy, Turcy i Chińczycy. Zaś pomagającym teraz Polakom zostanie ręka w nocniku.

Polscy politycy i publicyści ciągle czerpią energię z wołyńskich trupów, rachunków krzywd. Taka tematyka dominuje w mediach i internecie. Jednocześnie 31 proc. ankietowanych Polaków uważa Ukraińców za pożądanych partnerów gospodarczych, sojuszników i chce z nimi robić interesy ponad historycznymi krzywdami. Ale oni nie przebijają się w mediach. Nadal nie stworzyli Partii Przyjaciół Polsko-Ukraińskich Korzyści.

Po stronie ukraińskiej aż 33 proc. ankietowanych nie dostrzega „istotnych sporów w relacjach polsko-ukraińskich". Ale już 23 proc. ankietowanych Ukraińców wskazuje na Rzeź Wołyńską. Więcej niż w badaniach poprzednich. Już 54 proc. badanych uważa, że Ukraina wraz z Polską powinny stworzyć komisję historyczną do zbadania zbrodni na Wołyniu i w Galicji, a 24 proc. wyraziło opinię, że Ukraina powinna wyjaśniać Polakom, skąd bierze się pozytywny stosunek Ukraińców do UPA. Pozostałe 19 proc. zajęło stanowisko, że to wewnętrzna sprawa ich kraju, nie muszą odpowiadać na polskie oczekiwania. Za odrzuceniem polskich postulatów opowiedziało się 5 proc., zaś zmianę pomnikowego stosunku do UPA poparło 4 proc.

Polacy postrzegani są przez Ukraińców przede wszystkim jako sąsiedzi i sojusznicy. Bliscy pod względem kulturowym (44 proc.). Na Mołdawian, którzy zajęli drugą pozycję, wskazało jedynie 8 proc. badanych. Aż 43 proc. uczestników badania wyraża pozytywną opinię o Polakach. Złą ma łącznie jedynie 9 proc. ankietowanych.

Niepoprawni niewdzięcznicy

Szok w polskich mediach wywołały opinie Ukraińców odpowiadających na pytania dotyczące skali pomocy wojskowej i humanitarnej dokonanej przez europejskie państwa. Okazało się, że pierwsze miejsce w rankingach dawców zajęła Wielka Brytania, potem Niemcy, a Polsce przyznawano dopiero trzecie miejsce. Znów odżyły hasła o braku ukraińskiej wdzięczności. Chociaż w rankingach wizerunku europejskich polityków Polacy przodują. Premier Tusk dostał 47 proc. pozytywnych ocen, minister Radosław Sikorski – 37 proc., a prezes Jarosław Kaczyński – mocne 25 proc. Nietrudno zauważyć, że prezes Kaczyński ma na Ukrainie popularność podobną jak aktualnie w Polsce. Większą na Ukrainie niż prezydent Nawrocki.

Dodatkowo prezes Kaczyński ma rodzinę w Odessie i Połtawie. Mają oni wspólnego pradziadka. Pułkownika Stanisława Jasiewicza, który za czasów carskich wykładał w połtawskiej szkole artylerii. Nie jest zatem Kaczyński zdany jedynie na łaskę Orbána.

Darczyńską popularność Niemiec i Wielkiej Brytanii tłumaczy Bartosz Cichocki, ambasador RP w Kijowie za rządów PiS. „Niemcy są mistrzami świata w autopromocji. Brytyjczycy zaś mocno zaznaczają swoją obecność na Ukrainie – są lepsi w maratony, podczas gdy my wyspecjalizowaliśmy się w sprincie. Polskie władze pomagają, ale wraz ze wzrostem postaw sceptycznych niekoniecznie się tym chwalą. Poza tym nasze zasoby są na wyczerpaniu: nasz przemysł obronny nie jest w stanie produkować tyle, co niemiecki" – mówił w „Rzeczpospolitej".

Pożytki z nich

Cztery lata wspólnego pożycia polsko-ukraińskiego przynoszą pożytki, czasem przez Polaków nieoczekiwane. Badania Centrum Mieroszewskiego pokazały nie tylko nędzę polskiej autopromocji w świecie.

Bo zamiast skupiać się na oczekiwaniu aktów wdzięczności od ukraińskich uchodźców, powinniśmy już w 2022 r. opowiadać Europie i światu o polskiej autentycznej, niespotykanej gdzie indziej obywatelskiej, spontanicznej mobilizacji O pomocy ponadmilionowej grupie uchodźców wojennych. Pomocy skutecznej, bo oddolnej. Prawdziwym dowodzie polskiej gościnności. Powinniśmy o naszej szczodrobliwości opowiadać stale społeczeństwom bogatym. I poklasku, wdzięczności oczekiwać od bogatego Zachodu. A nie biedniejącej, stale bombardowanej Ukrainy.

Dzięki żyjącym u nas Ukraińcom rozpoczęliśmy ciągle odkładaną dyskusję o 800 plus. Zaczęło się od postulatów zabrania tego świadczenia dzieciom ukraińskim. Teraz poważni już eksperci proponują, aby tego świadczenia nie wypłacać bogatym rodzinom. Przeznaczyć pozyskane oszczędności na rzeczywiste potrzeby społeczne.

W trakcie debaty obalono też kłamstwa, że Ukraińcy mieszkający w Polsce żyją z polskiego socjalu. Okazało się, że „polski socjal" to oksymoron. Bo nie da się w Polsce przeżyć jedynie z polskiej pomocy społecznej. Ani Polakom, ani Ukraińcom. Niemcom nawet.

Obecnie w ZUS zarejestrowanych jest 857 tys. ukraińskich pracowników. Na drugim miejscu są Białorusini – 138 tys., potem 26 tys. Gruzinów.

Choć statystyki za granicą imponują, to polscy eksperci zauważają, że pozyskiwanie nowych pracowników staje się coraz trudniejsze. Głównymi barierami pozostają skomplikowane procedury wizowe oraz ograniczona wydolność urzędów wojewódzkich i konsulatów. A nie niechęć cudzoziemców do pracy.

W Polsce nadal nie ma państwowej polityki migracyjnej. Nie ma też jasnej, długofalowej polityki wobec ukraińskich uchodźców wojennych. Nie wiadomo, czy państwo polskie chce, by ci zadomowieniu już Ukraińcy zostali u nas, czy pragnie, aby wyjechali, kiedy tylko nastanie rozejm. Nie ma prognoz, jak ewentualny wyjazd miliona ukraińskich konsumentów i pracowników wpłynie na polskie PKB. Nie ma żadnej polityki poza taktycznym szczuciem na migrantów w czasie kampanii wyborczych.

Trwającym w radosnej bezmyślności polskim elitom politycznym i eksperckim polecam film Sergia Arau produkcji amerykańsko-hiszpańsko-meksykańskiej zatytułowany „Dzień bez Meksykanów". O tym, jak z Kalifornii znika jedna trzecia mieszkańców. Polska wersja wersja mogłaby mieć tytuł „Bez Ukraińców, czyli nareszcie tylko sami swoi".

PIOTR GADZINOWSKI

Pani nie zabiła pana

Kiedy się wierzy w wille

To jest związek na miarę szekspirowego pióra. Jest w nim i miłość, i nienawiść, i zbrodnicze plany. I jest surowa kara. Pan Jurek chce uściskać panią Izę, lecz nie może, bo sąd jej zakazał. Pan Jurek chce pani Izie przesłać tysiąc złotych, żeby miała za co zapłacić mu tytułem „częściowego zadośćuczynienia", lecz prawo na takie opłaty nie zezwala. Ach, niedobry pan sędzia nomem omen Czarciński Marcin z Sądu Rejonowego w Toruniu, który nie pozwala lubić się tym, co się czubią. Nie pozwala, bo przecież pani Iza chciała zabić pana Jurka. Bo gdyby „pani zabiła pana", to by była drama! Na miarę mickiewiczowego pióra.

A było to tak: przed z górą rokiem pewna dama z Torunia, podobnie jak redakcja „NIE" mająca już swoje lata, a podpisująca się kokieteryjnie Iza Izabela, raczyła skomentować na profilu FB niekoronowanego króla Polski Jerzego Owsiaka – zresztą znacznie od niej starszego – jeden z jego wpisów tymi oto słowy: „Giń człeku i to jak najszybciej dość okradania dość twego dorabiania się z naiwności Polaków twoje wille za granicą twoja willa w Polsce twoje dzieci uczą się za granicą i pensje twoje i twojej żony dość rozlicz się i zmień okulary bo takie noszą LGBT".

Jako że wszyscy mają w pamięci zasztyletowanie prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza podczas finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w 2019 r., poinformowana o sprawie prokuratura zadziałała niezwykle jak na kaliber sprawy energicznie. Już po dwóch dniach policja panią Izę „doprowadziła", a prokurator przesłuchał, telefon (jako narzędzie przestępstwa) zabrał i kazał meldować się na komendzie co kilka dni. A w dodatku zakazał zbliżania się do Jerzego Owsiaka, co niewątpliwie było dla niej sankcją najbardziej dotkliwą. O niczym wszak innym nie marzyła jak o takim zbliżeniu. I jeszcze skasował ją na 300 zł kaucji. Minął rok, a surowość prokuratorska znalazła potwierdzenie w wyroku sędziego Czarcińskiego, który pomimo najlepszych starań pani mecenas z Ordo Iuris skazał panią Izę Izabelę na całe pół rok ciupy w zawieszeniu na rok. Do tego kazał zapłacić Owsiakowi 1000 zł, zabronił zbliżania się i jeszcze kazał co pół roku pisać do sądu stosowne sprawozdania z własnego (niewątpliwe dobrego) sprawowania. Jak można się było spodziewać, będzie apelacja.

Wszystko to jest tak surrealistyczne, że Jerzy Owsiak nie miał innego wyjścia jak po prostu zaproponować, żeby się z panią Izą przeprosili i uściskali, a o sprawie i pieniądzach zapomnieli. Ot, zdarzył się niefortunny wypadek, coś się komuś wypsnęło i niepotrzebnie uruchomiono prokuratorskie i sądowe młyny. Ale to tak nie działa. Młyny ruszyły i nie da się ich zatrzymać żadnym „dajcie spokój". Nawet ktoś tak wpływowy jak Owsiak nie pomoże.

Sprawa jest z etycznego i socjologicznego punktu widzenia arcyciekawa. Niewątpliwie mamy tu do czynienia z nadreaktywnością władzy i nieproporcjonalną karą. To jednakże tylko przy założeniu, że faktycznie nie było żadnego niebezpieczeństwa. Tymczasem w sędziowskim uzasadnieniu do wyroku twierdzi się coś wręcz przeciwnego, a mianowicie, że wpis pani Izy był autentyczną groźbą karalną, bo mogło go przeczytać bardzo wielu ludzi i któryś z nich mógł to odebrać jako pobudkę do mordu. I stosownie do tego pani Iza została skazana za nawoływanie do popełnienia zbrodni.

Nie, sąd się pomylił. Użyte słowa „Giń, człowieku!" są jedynie zniekształconą wersją powiedzenia „zgiń, przepadnij!" będącego zwyczajnym frazeologizmem wyrażającym potępienie. Nie ma tu żadnej intencji zbrodniczej ani aluzji do użycia przemocy. Po prostu „A kysz, siło nieczysta!". Sąd się pomylił i dlatego w apelacji p. Iza zapewne wygra. Jednak ta pomyłka, sama w sobie będąca czymś zupełnie banalnym, nie powinna przesłaniać nam tego, co naprawdę się tutaj wydarzyło.

WIEŚCI GMINNE i INNE

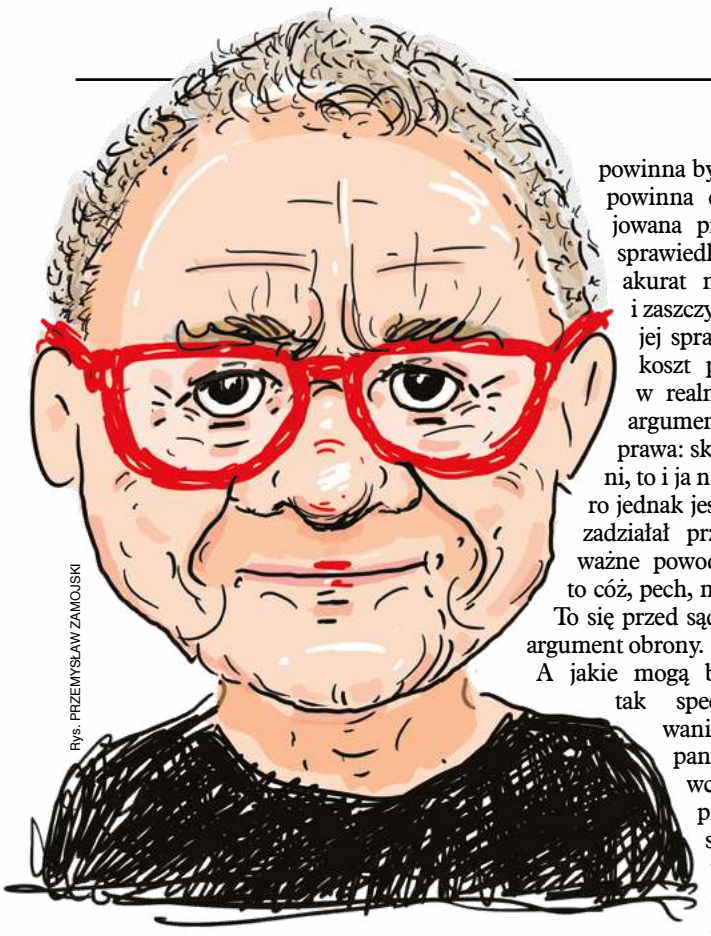
▮ Na łódzkich Bałutach 53-letni Marcin S. zaszlachtował maczetą swojego 63-letniego kolegę, którego personaliów nie podano. A szkoda, bo przynajmniej byłoby wiadomo, kogo dokładnie zaszlachtowano. Gdy szlachtowany już dogorywał, pan Marcin dobijał go blenderem, masakrując twarz, najwyraźniej uznał, że kuchenny sprzęt AGD też ma coś do powiedzenia w sprawach ostatecznych. Następnie zadzwonił pod numer alarmowy, domagając się pomocy – nie do końca wiadomo, czy w szlachtowaniu, czy w ratowaniu. W każdym razie służby przybyły za późno, bo zamordowany już nie żył, więc nie trzeba było go ani ratować, ani dobijać. Marcin S. został zatrzymany. Badanie wykazało u niego 1,5 promila, wiadomo czego, we krwi. Zmarłego pod kątem pijaństwa nie badano. I słusznie.

▮ W Wiśle doszło do zbrodni, która wstrząsnęła narciarską diasporą. Złodzieje ukradli narty ratownikom Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Tak, dobrze słyszycie. Narty GOPR-owcom! Rozumiecie to? Ktoś zapieprzył narty ze stoku, GOPR-owcom! Podłość, chamstwo i brak elementarnej przyzwoitości. To profanacja porównywalna z nasraniem na ołtarz. Policjanci z Czerwionki-Leszczyn odzyskali skradzione narty. Złodzieje czekają na rozstrzelanie. Za taki czyn nie ma litości.

▮ Studniówka w Karpaczu zamieniła się w mordobicie. To się nazywa wejście w dorosłość z przytupem. Podczas balu uczniów Zespołu Szkół Ponadpodstawowych im. Adama Mickiewicza z Lubania 19-letni młodzieniec pobił opiekuna koleżanki. Potem pogryzł ochroniarza. A na koniec „poczęstował" dwójkę postronnych osób, które nie miały pojęcia, o co chodzi. Prokuratura postawiła zarzuty i grozi mu pięć lat więzienia. A to oznacza, że maturę napisze, kiedy jego koledzy będą już mieli w kieszeni magisterkę. A jednak, gdyby nie on…studniówka nie pozostawiłaby śladów. A tak na długo zapadnie w pamięć.

▮ 36-letni asesor komorniczy Łukasz G. ukradł z kancelarii działającej przy Sądzie Rejonowym Szczecin Prawobrzeże ponad 14 mln zł i prysnął na Dominikanę, słusznie zakładając, że Polska nie ma z Republiką Dominikany umowy o ekstradycji. Niestety, Dominikańczycy nie okazali się aż tak gościnni. Dzięki współpracy polskiej policji oraz Interpolu Łukasza odesłano do kraju. Grozi mu 25 lat pierdla. Dominikana okazała się krajem pragmatycznym: pieniędzy nie odzyskano, więc zapewne spokojnie leżą sobie na koncie w Santo Domingo, a sam złodziej będzie teraz utrzymywany

eprasa.pl df91f9383b



Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

A wydarzyła nadzwyczajna i nieoczekiwana interwencja prawa w sytuacji podobnej do milionów innych, gdy prawa się nie stosuje. Groźby, pomówienia czy rasistowskie wyrzekania zalewają internet i właściwie nigdy nie są ścigane.

Nie są, choć mogłyby być. Skoro jednak nie są, kolejne osoby, dopuszczające się takich niegodziwości jak pani Iza ze swymi oszczerstwami na temat rzekomych malwersacji dokonywanych przez Jurka Owsiaka, w pewnym sensie mają prawo spodziewać się, że pozostaną bezkarne. Bo skoro państwo w pewnych sytuacjach systematyczne uchyla się od stosowania prawa, to w pewnym sensie to prawo unieważnia. A jeśli stosuje je bardzo rzadko, to dlaczego pobłaża prawie wszystkim, a stosuje sprawiedliwość akurat wobec tak nielicznych i to właśnie tych, a nie innych? To niesprawiedliwe!

Prawo jest prawem i każdy powinien być wręcz szczęśliwy, że akurat na niego padło i to on poniesie sprawiedliwą karę, podczas gdy innym ujdzie na sucho, co przecież oznacza niesprawiedliwość. W idealnym świecie tak właśnie sprawa powinna być stawiana. Pani Iza powinna czuć się uprzywilejowana przez to, że wymiar sprawiedliwości pochylił się akurat nad jej występkiem i zaszczycił ją wymierzeniem jej sprawiedliwości (i to na koszt państwa). A jednak w realnym życiu zwycięża argument z równości wobec prawa: skoro inni nie są ścigani, to i ja nie powinienem. Skoro jednak jestem ścigany, to albo zadziałał przypadek, albo były ważne powody. Jeśli przypadek, to cóż, pech, nie miałem szczęścia. To się przed sądem nie obroni jako argument obrony.

A jakie mogą być ważne powody tak specjalnego potraktowania danej osoby, np. pani Izy? W grę może wchodzić arbitralność prokuratora bądź sędziego, czyli jego widzimisię. A to już nie da się pogodzić z praworządnością. A jeszcze gorzej jest wtedy, gdy za arbitralnością stoi jakaś forma dyskryminacji, na przykład z powodów rasowych albo z powodu poglądów politycznych.

I właśnie na to zwracała uwagę obrona pani Izy, twierdząc, że ściganie jej ma charakter represji związanej z jej identyfikacją z prawicą, która od lat głosi, że akcja Jerzego Owsiaka jest nieuczciwa i nietransparentna. I taki argument może być przez sąd wzięty pod uwagę. Jednak oskarżenie ma inne wytłumaczenie dla swojej nadzwyczajnej gorliwości w tym konkretnym przypadku, a mianowicie wspomniany precedens, jakim było zabójstwo prezydenta Adamowicza mające w tle kampanię oszczerstw i nienawiści skierowaną przeciwko Jerzemu Owsiakowi i jego WOŚP.

Jaki więc będzie wyrok w apelacji? Zapewne „nawoływanie do popełnienia zbrodni" się nie utrzyma, a przez to nie utrzyma się też wyrok więzienia. A grzywna może by i została, bo przecież doszło do zniesławienia osoby, której działalność realizuje ważny interes publiczny. Na to jednak wejdzie sam Owsiak i poprosi o zaniechanie karania pani Izy. I co może w takiej sytuacji zrobić sąd? Orzeknie, że jest winna, lecz na prośbę pokrzywdzonego odstąpi od wymierzenia kary. I czyje to będzie moralne zwycięstwo? Przede wszystkim Jurka Owsiaka, lecz również wymiaru sprawiedliwości. Jednak pełnia szczęścia byłaby dopiero wtedy, gdyby pani Iza w toku procesu mogła się przekonać, że nie ma tych wszystkich owsiakowych willi, w które uwierzyła. Bo to właśnie owe wille są, że tak powiem, kłującą w oczy kością niezgody.

JAN HARTMAN

Czy Pełczyńska-Nałęcz uratuje partię Hołowni?

Titanic z przechyłem na lewą burtę

Ostatnimi czasy myśl o Polsce 2050 automatycznie uruchamia w mojej głowie czołówkę z „Mody na sukces". I chyba trudno się mojemu biednemu mózgowi dziwić – biorąc pod uwagę ilość dramatycznych wydarzeń, w którą obrodziła fabuła tej partii, od kiedy Szymon Hołownia zapowiedział, że nie będzie kandydował na przewodniczącego formacji z jego nazwiskiem w nazwie. Po wielu perturbacjach wreszcie ujrzeliśmy biały dym z komina: od soboty wieczór nową przewodniczącą Polski 2050 jest minister funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz.

Brazylijska telenowela

Wygrana Pełczyńskiej-Nałęcz w wyborach nie jest jakimś ogromnym zaskoczeniem – taki scenariusz przewidywano jeszcze przed rozpoczęciem wyborów, mimo istnienia w partii sporego grona osób jej nieprzychylnych. W pierwszej turze Pełczyńska-Nałęcz świetnie sobie poradziła, zdobywając 42,23 proc. głosów – więcej niż Paulina Henning-Kloska i Joanna Mucha razem wzięte, zmasakrowała też Petru i Kasprzyka. Druga tura, zaplanowana zaledwie kilka dni po pierwszej, została przerwana i unieważniona „z powodu problemów technicznych".

Czas między nieudaną i udaną drugą turą – do końca nie wiemy właściwie, dlaczego tak długi – członkowie Polski 2050 spędzili na skakaniu sobie do gardeł. Mieliśmy wyciek prywatnych czatów, w których minister kultury Marta Cienkowska klnie jak szewc, planując pucz w partii i przesunięcie wyborów. Następnie miały miejsce wzajemne oskarżenia o wyciek i przepychanka między Aleksandrą Leo (zwolenniczką Hennig-Kloski) a Pawłem Ślizem (stronnikiem Pełczyńskiej-Nałęcz), która poskutkowała odwołaniem Leo z funkcji wiceszefowej Klubu Parlamentarnego i rozlaniem się konfliktu na całą partię. Hołownia grzmiał w socjalmediach, nawołując swoją rozbrykaną dziatwę do opamiętania. W pewnym momencie Pełczyńska-Nałęcz zaproponowała nawet Henning-Klosce podzielenie się stanowiskiem, na co ta jednak się nie zgodziła.

Cena za bycie lewym skrzydłem

Mimo wyżej opisanej wieży Babel Minister Pełczyńska-Nałęcz wybory wygrała, choć już nie tak spektakularną większością (350 do 309). Bez wątpienia ze wszystkich kandydujących ma największe szanse na niepogrzebanie swojej partii – jest stanowcza, w miarę charyzmatyczna i ma własne zaplecze w partii. Z drugiej strony jednak ciągnie się za nią smród dotyczący jachtów za pieniądze z KPO.

Niemniej powodów do kibicowania Pełczyńskiej jest wiele, bo w porównaniu do ultraliberalnej i proprzedsiębiorczo zorientowanej Henning-Kloski stanowi ona bardziej ludzkie i prospołeczne oblicze Polski 2050. Wybrzmiewało to podczas jej pierwszej konferencji prasowej w nowej roli.

Po standardowych zaklęciach o „wyrazistym centrum" nowa szefowa Polski 2050 wyraźnie stwierdziła, że jej partia nie będzie stać po stronie wielkich korporacji ani popierać wyzysku taniej siły roboczej.

Obiecała negocjować sprawiedliwe podatki i politykę mieszkaniową skoncentrowaną na mieszkańcach, a nie spekulantach (wyobraźcie sobie Państwo, że mówi to ktokolwiek z Koalicji Obywatelskiej; zresztą stojąca obok Henning-Kloska miała nietęgą minę). Warto tu podkreślić, że nie są to słowa bez pokrycia, bo Pełczyńska-Nałęcz już w 2024 – wbrew woli Donalda Tuska – walczyła z wprowadzeniem kredytu zero procent. Ostatnio opowiadała się za podatkiem katastralnym i wielokrotnie mówiła o konieczności budownictwa społecznego. Oczywiście nie są to poglądy modne w najbardziej liberalnym skrzydle koalicji, a przez ustawiczne stawianie się Tuskowi Pełczyńska-Nałęcz nie należy do jego osobistych faworytek.

Nowej przewodniczącej PL2050 wyraźnie nie brak odwagi – i za tę odwagę ponosi niemałe konsekwencje: nie dość, że Tusk niewątpliwe będzie próbował uprzykrzyć jej życie, to prorządowe media, ze szczególnym uwzględnieniem TVN24, zwalczają jako nieodpowiedzialną, niedoświadczoną i niedojrzałą do polityki z jednej strony i przebiegłą manipulantkę rządzącą Szymonem Hołownią – z drugiej. Do tego dochodzi samograj rosyjskich inklinacji, ze względu na pełnioną przez Pełczyńską w latach 2014–2016 funkcję ambasadora Polski w Federacji Rosyjskiej (ten temat poruszał między innymi TOK.fm i – natychmiast po wygranej Pełczyńskiej – TV Republika).



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Wicepremier na Titanicu

Pełczyńska-Nałęcz z uporem przypomina, że porozumienie koalicyjne przewidywało wicepremiera z Polski 2050. Zdaniem „Rzeczpospolitej" Tusk najchętniej widziałby na tym stanowisku Ryszarda Petru, który nie odbiegałby od standardu taboretu wyznaczonego przez innych koalicyjnych wicepremierów. Jednak Petru przerżnął partyjne wybory z kretesem, a Pełczyńska-Nałęcz wygrała bezdyskusyjnie i jest dość trudna do zignorowania – a wnioskując po jej dotychczasowym braku pokory, nie da się wykluczyć, że wobec niewypełnienia umowy może zagrozić Tuskowi zerwaniem koalicji. Z drugiej strony premier może uprzedzić to zagranie i zacząć wabić posłów Polski 2050 do klubu KO. Biorąc pod uwagę notowania Polski 2050 oscylujące wokół 2 proc. i niezadowolenie części aktywu z nowej przewodniczącej, ktoś na pewno zastanawia się nad pakowaniem walizek.

W TV Republika zapytano o to posła Kamila Wnuka. Ten z jednej strony nie zaprzeczył ani nie potwierdził, a z drugiej – delikatnie zasugerował, że jeśli ktoś ma uciekać, to raczej przegrani kandydaci. Z kolei Henning-Kloska na wspólnej z nową przewodniczącą konferencji prasowej zapewniała, że donikąd się nie wybiera, ale biorąc pod uwagę ciche wsparcie, jakie Tusk okazał jej w partyjnych wyborach i jej historię (była posłanką i Nowoczesnej, i PO), powrót na stare śmiecie może okazać się kuszący. Tym bardziej że ze swoimi liberalnymi i jednoznacznie probiznesowymi poglądami Hennig-Kloska stanowi przykład modelowej wręcz polityczki z Tuskowej matrycy.

Donald Tusk jest hegemonem bezwzględnym i skutecznym i z całą pewnością zrobi bardzo wiele, żeby Pełczyńskiej-Nałęcz do stanowiska wicepremiera nie dopuścić. Gdyby jednak jej się udało, byłaby to szansa na lekkie uczłowieczenie rządów Tuska, a przy okazji – poprawę tragicznych notowań formacji, której stery właśnie objęła.

ANTONINA STEFFEN

z naszych podatków przez najbliższe ćwierć wieku. Jak robić interesy, to tylko z Polakami.

Przed Sądem Rejonowym w Szczecinku toczy się sprawa emerytowanej pielęgniarki oskarżonej o narażenie 40 niemowląt na niebezpieczeństwo utraty życia przez podanie nieustalonej substancji zamiast szczepionki. Według śledczych kobieta pobierała od rodziców opłaty za szczepionkę, której dzieci faktycznie nie otrzymały, czym miała wyłudzić co najmniej 16 tys. zł. Sprawa wyszła na jaw w 2019 r., gdy jedna z matek zauważyła, że koszt szczepienia był niższy niż cena preparatu w aptece. Nadal nie wiemy, czy mamy do czynienia z potworem w fartuchu, czy raczej z nadgorliwością prokuratury. Nic dziwnego, że w Szczecinku przyrost naturalny spadł o ponad 50 proc., a miasto zamyka trzy przedszkola.

Rok 2025 był najgorszym od 18 lat pod względem zwolnień grupowych w Polsce. Pracodawcy zgłosili do urzędów pracy „redukcję" ponad 97,6 tys. etatów. Wynik blisko trzykrotnie wyższy niż w 2024. Najwyższy od globalnego kryzysu finansowego z lat 2008–2009. Skokowy wzrost był w dużej mierze związany z działaniami Poczty Polskiej, która zgłosiła ponad 51 tys. „wypowiedzeń zmieniających". Zwolnienia grupowe objęły także PKP Cargo, Black Red White, Beko, Henkel oraz Eko-Okna. Tak się jakoś dziwnie składa, że za menedżment w Poczcie Polskiej i PKP Cargo, który doprowadził do obecnej tragicznej dla tysięcy ludzi sytuacji, odpowiedzialny był pan Wojciech Balczun (wcześniej tam zatrudniony). Balczun obecnie – z nadania Donalda Tuska – pełni funkcję ministra aktywów państwowych. Współczujemy panu premierowi błędów personalnych.

Mało kto się orientuje, że górale w Zakopanem mają za darmo to, za co reszta kraju musi płacić jak za zboże. Góry – za darmo. Świeże górskie powietrze – za darmo. Owce – też jakby z nieba spadły. Oscypki – wiadomo, same się robią. A do niedawna nawet ogrzewanie było prawie jak dar natury. Tymczasem miło nam poinformować, że doszło do poważnej awarii sieci ciepłowniczej Geotermia Podhalańska. Tej samej, która dostarczała 134 MW mocy – czyli tyle ciepła, że dałoby się ogrzać 60 tys. mieszkań i jeszcze zostało na basen w hotelu. W Zakopanem uruchomiono więc awaryjne ogrzewanie gazowe. Za które – co za niespodzianka – trzeba będzie zapłacić. Operator ostrzega też przed możliwymi okresowymi niedogrzaniami budynków. Te, zgodnie z lokalną tradycją, zapewne również przypadną mieszkańcom nieodpłatnie.

Podsumowanie 2025 r. pokazuje, że wojsko zabezpieczyło inżynieryjnie 60 km granicy państwowej, budując tzw. Tarczę Wschód. Stałe zapory i umocnienia powstały już na odcinku 10 km. W efekcie otrzymaliśmy konstrukcję będącą czymś pomiędzy Linią Zygfryda, Linią Maginota a fińskim systemem zapór granicznych znanym głównie z tego, że nikt poza Finami nie potrafi poprawnie wymówić jego nazwy. Ile to kosztuje – nie pytajcie. Wiedzcie tylko, że Linia Zygfryda nie uchroniła Niemiec, Linia Maginota nie uchroniła Francji, a ta fińska zapora z betonu i drutu jeszcze nie miała okazji się sprawdzić. Niestety, wygląda na to, że łatwiej jest budować mury niż szukać powodów, by ich nie budować. Choć wyciągnięcie otwartej ręki do zgody wydawałoby się prostsze niż przerzucanie nią ton betonu. Beton, jak widać, lepiej przechodzi przez przetargi.



Rys. WIDGET

Wieżowiec Intraco zlokalizowany w Warszawie przy ul. Stawki 2 ma 39 kondygnacji, 138 m wysokości i zaledwie 50 lat. Przez dekady był jednym z najbardziej rozpoznawalnych punktów orientacyjnych północnego Śródmieścia Warszawy oraz symbolem modernistycznej architektury lat 70. Właściciel budynku Polski Holding Nieruchomości planował jego rozbiórkę i budowę nowego biurowca, argumentując, że po remoncie elewacji w 1998 r. Intraco nie zachowało oryginalnego charakteru, a dalsza modernizacja jest technicznie i ekonomicznie nieuzasadniona. Plany te zablokował jednak mazowiecki wojewódzki konserwator zabytków Marcin Dawidowicz, który podjął – jeszcze nieprawomocną – decyzję o wpisaniu wieżowca do rejestru zabytków. To polskie szaleństwo w pigułce. Budynek mający zaledwie pół wieku trafia na listę zabytków dlatego, że ktoś chce go rozebrać – a chce go rozebrać, bo po 50 latach nie opłaca się go remontować. Taka logika mogłaby jeszcze brzmieć wiarygodnie, gdyby nie fakt, że Polski Holding Nieruchomości jest spółką państwową, która nie musi liczyć pieniędzy – i często nie potrafi. Czy naprawdę jesteśmy aż tak bogatym narodem, by ongiś reprezentacyjny wieżowiec, zaprojektowany przez Szwedów i wykonany z charakterystyczną dla nich starannością, zamieniać dziś w gruzowisko? Na to pytanie powinien sobie odpowiedzieć prezes PHN, Wiesław Malicki – zanim zaczną zadawać mu je inni z instytucji na trzy litery.

Oddział Instytut Pamięci Narodowej we Wrocławiu przygotował nową grę edukacyjną pt. „Konspira" poświęconą realiom działalności opozycyjnej w latach 80. XX w. To karciana gra towarzyska, w której uczestnicy wcielają się w opozycjonistów realizujących tajne misje przeciwko władzy komunistycznej przy jednoczesnym ryzyku obecności tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa sabotujących działania grupy. Trzeba przyznać, że w warunkach rozwoju państwa opresyjnego sprawności konspiracyjne mogą okazać się nadzwyczaj przydatne. Tyle że dziś SB zastąpił zmilitaryzowany aparat skarbowy, zbrojnym orężem ucisku stał się komornik, a w roli opozycji występuje zwykły obywatel – rujnowany za brak ubezpieczenia OC albo biletu parkingowego.

W związku z utrzymującymi się silnymi mrozami w Poznaniu postawiono ogrzewane namioty dla mieszkańców. Dokładnie dwa. Jeden przed dworcem PKP, drugi na Placu Wolności. Namioty są czerwone, żeby było je widać z daleka. Namioty rozbiły wspólnie i w pełnym porozumieniu: Komenda Miejska Straży Pożarnej, straż miejska, wielkopolska policja oraz Grupa Ratownictwa PCK Poznań. Cztery instytucje, dwa namioty. Spokojnie: system działa. A w zasadzie nie działa.

RJ

PS To, co powyżej, napisano na podstawie informacji z różnych gazet z całej Polski. A jak już dobrze wiecie, prasa bywa zdradliwa, pełna wyjątków i niespodzianek. Dlatego proszę pamiętać: nie wszystko musi być dokładnie tak, jak jest. Jeśli gdzieś wkradł się błąd albo nieścisłość, z góry przepraszamy i uprzejmie informujemy, że odpowiedzialności za takie potknięcia nie ponosimy. Z powodów, które – mam nadzieję – są dla was zupełnie jasne.

eprasa.pl df91f9383b

Resort sprawiedliwości główkuje nad neosędziowością, a tymczasem...

Nieprzedawnialne

Pani Wanda z Lublina miała dług. Na początku był mały. Wstydliwie zwyczajny. Taki, który nie wygląda groźnie w tabelce, ale potrafi urosnąć do rozmiaru życiowego problemu, jeśli zostawi się go samemu sobie. Albo raczej – jeśli zostawi się go wierze w polskie prawo.

To był zły rok. Jeden z tych, które nie zaczynają się dramatycznie, ale kończą niefajnie. Najpierw zepsuła się lodówka – stara, jeszcze z czasów, gdy sprzęty robiło się na lata, a nie na raty. Potem przyszła wizyta u dentysty, taka nie do odłożenia. A na koniec rachunek za ogrzewanie wyższy niż zwykle, bo zima była długa, a blok słabo ocieplony.



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Żeby nie bolało

Pani Wanda pracowała, ale niestabilnie. Umowy krótkie, dochody nierówne, oszczędności symboliczne. Kiedy zsumowała wydatki, wyszło, że nie da się tego spiąć do pierwszego. Wzięła pożyczkę. 3200 zł. Nie z myślą o luksusach. Z myślą o tym, żeby dom funkcjonował. Żeby było gdzie trzymać jedzenie. Żeby nie bolało. Żeby zapłacić rachunki i nie mieć zaległości.

Podpisała umowę szybko. Przeczytała ją pobieżnie. Nie zaglądała do paragrafów o konsekwencjach, przedawnieniach i odsetkach karnych. Wtedy dług nie był jeszcze „sprawą prawną". Był ratą, którą trzeba wpisać w kalendarz.

Przez pierwsze miesiące pani Wanda spłacała. Z opóźnieniem, ale spłacała. Potem skończyła się praca. Nowa była gorsza. Raty zaczęły ciążyć. Jedna nie wyszła. Druga też nie. Wiedziała, że ma problem, ale wierzyła, że go opanuje. Nie było jeszcze lęku. Było napięcie. Dług był obecny w głowie, ale jeszcze nie dominował. Pojawiał się raczej jako wyrzut sumienia niż strach. „Muszę się bardziej pilnować", „jeszcze tylko ten miesiąc".

Psychicznie to był etap kontrolowanego napięcia. Wiedziała, że ma problem, ale wierzyła, że go rozwiąże. Że znajdzie lepszą pracę. Że coś się poprawi.

Telefony na początku były uprzejme: „Przypominamy o zaległości", „prosimy o kontakt". Bo wierzyciel w tym czasie działał książkowo. Wysyłał przypomnienia. SMS-y. Maile. Uprzejme wezwania do zapłaty. Wszystko w ramach procedur, wszystko zgodnie z systemem.

Potem przyszły jeszcze gorsze miesiące. Telefony zaczęły dzwonić częściej. Ton się zmienił. Pojawiły się słowa: „konsekwencje", „postępowanie", „brak reakcji pogorszy sytuację". To był moment, w którym pani Wanda zaczęła unikać. Najpierw telefonów. Potem listów. Nie dlatego, że była nieodpowiedzialna. Dlatego, że psychicznie nie dawała rady.

Strach jeszcze nie był paniczny. Ale był. Stały. Towarzyszył jej przy każdym dźwięku telefonu. Przy każdym liście w skrzynce. Każdy nieznany numer powodował przyśpieszone bicie serca. Wierzyciel w tym czasie przekazał sprawę firmie windykacyjnej. Innej. Bardziej stanowczej. Dla pani Wandy to nie miało znaczenia – wszystkie głosy w słuchawce zaczęły brzmieć tak samo. To jest moment, w którym psychika robi coś bardzo ludzkiego: zamyka drzwi. Listy przestają być otwierane. Telefony są odrzucane. Problem zostaje wypchnięty poza świadomość.

I nagle… zapadła cisza. Telefony ustały. Listów było mniej. Potem wcale. Przez długie miesiące nikt się nie odzywał. Dług zniknął z codzienności. Psychicznie to był moment ulgi. Ogromnej. Pani Wanda odczytała ciszę jako znak, że sprawa się zakończyła. Że wierzyciel odpuścił. Że „pewnie się przedawniło".

Słyszała przecież o przedawnieniu. Wiedziała, że po kilku latach długi „wygasają". Tak się mówi. Tak się pisze. Tak brzmi obietnica prawa. Nie wiedziała, że w tym samym czasie system robił swoje. Po cichu. Bez jej udziału.

Logika windykacji

Pani Wanda miała rację. Bo rzeczywiście, zgodnie z art. 118 kodeksu cywilnego termin przedawnienia wynosi sześć lat, a dla roszczeń związanych z prowadzeniem działalności gospodarczej – trzy lata. Pożyczka miała już siedem lat. Czas minął. Logika podpowiadała – koniec.

Nie miała pojęcia, że istnieje art. 117 par. 2 kc, który mówi coś, czego nikt nie tłumaczy zwykłym ludziom: „Po upływie terminu przedawnienia ten, przeciwko komu przysługuje roszczenie, może uchylić się od jego zaspokojenia". Czyli: przedawnienie nie działa samo. Trzeba je podnieść. W sądzie. W odpowiednim momencie. W odpowiedniej formie.

Pani Wanda nie wiedziała, że przedawnienie, to nie zegar, który sam się wyłącza. To przycisk, który trzeba nacisnąć. W odpowiednim momencie. W odpowiednim miejscu. W odpowiednim piśmie.

Nie nacisnęła. W czasie ciszy wierzyciel złożył pozew. Najpewniej w e-sądzie. Nakaz zapłaty został wydany. Pismo poszło na stary adres. Prawo uznało je za skutecznie doręczone. Doręczenie uznano, choć pani Wanda nigdy nie trzymała tego pisma w ręku.

Od tej chwili dług przestał być pożyczką. Stał się roszczeniem stwierdzonym prawomocnym orzeczeniem. Wszedł w życie art. 125 par. 1 kc: „Roszczenie stwierdzone prawomocnym orzeczeniem sądu przedawnia się z upływem sześciu lat".

Nie miała pojęcia, że każdy ruch wierzyciela – wniosek do komornika, czynność egzekucyjna – przerywa bieg przedawnienia zgodnie z art. 123 kc. Ba, czasem wystarczy taka rozmowa:

– Czy wie pani, że ma pani zaległość? – mówi głos w słuchawce.

– No wiem, coś tam było…

To może wystarczyć. Prawnicy nazywają to uznaniem niewłaściwym. Dla systemu – wystarczającym. Przedawnienie liczy się od nowa.

Pani Wanda odebrała kiedyś taki telefon. Z grzeczności. Powiedziała, że „kiedyś była pożyczka, ale to stare sprawy". Nie wiedziała, że tym zdaniem cofnęła czas. Teraz po latach pani Wanda wie, że firmy windykacyjne mają jeszcze inny sposób na to, by ktoś nieświadomie uznał przedawniony dług. To dlatego czasem wierzyciel proponuje ugodę. Niewielkie raty. Symboliczna wpłata. „Żeby zamknąć sprawę". A jedna wpłata – nawet 10 zł – może zostać uznana za uznanie długu. A skoro uznanie, to znów przerwanie przedawnienia.

Pani Wanda nie podpisała ugody. Ale zna ludzi, którzy podpisali. Bo myśleli, że robią dobrze. Że zamykają temat. Nie zamknęli. Otworzyli go na nowo.

Dług nie umiera

Pismo od komornika przyszło nagle. Bez zapowiedzi. Bez wstępu. Kwota: ponad 54 tys. zł. Psychicznie to był moment całkowitego załamania. Strach przestał być napięciem. Stał się paraliżem. Pani Wanda nie spała. Nie jadła. Nie wiedziała, co zrobić. Nie rozumiała, jak z 3200 zł mogło zrobić się ponad 50 tys. Tymczasem różnica to: odsetki, koszty sądowe, koszty egzekucyjne i opłaty manipulacyjne. Prawo je przewiduje. System je akceptuje. Człowiek je przeżywa. Wszystko zgodne z prawem. Wszystko dopuszczalne.

Napisała odwołanie. Podniosła zarzut przedawnienia. Opisała swoją historię. Napisała po ludzku, z nadzieją, że ktoś spojrzy na to inaczej niż przez sygnaturę. Odpowiedź była chłodna. Formalna. Prawna. Stwierdzała, że przedawnienie zostało przerwane zgodnie z prawem. Wniosek spóźniony, a egzekucja zasadna.

Psychicznie to był moment, w którym pękła ostatnia iluzja, że państwo kiedykolwiek stanie po stronie tego, kto nie zna przepisów, ale żyje ich skutkami. 3,2 zł zamieniło się w 54 tys. zł. Nie dlatego, że pani Wanda była nieuczciwa. Dlatego, że prawo działa mechanicznie.

Dziś pani Wanda spłaca dług w ratach. Zmęczona. Cicha. Ostrożna. Już nie wierzy w proste opowieści o przedawnieniu. Bo nauczyła się, że w Polsce przedawnienie nie jest tarczą. Jest testem wiedzy, którego większość ludzi nie zdaje.

A państwo? Państwo wie lepiej i nie chroni zwykłych ludzi. Chroni tych, którzy wiedzą więcej. Albo mają kasę, by opłacić kogoś, kto wie za nich.

TOMASZ BOROWIECKI

SŁOWO CZERWONE

Uchyl drzwi

Bezdomność to nie kara za grzechy

Nie ma już miejsc w schroniskach dla bezdomnych. Są już tylko w noclegowniach. Ale stamtąd wyganiają rano, jeszcze przed świtem, na mróz. A nie każdy bezdomny ma dość ciepłe ubranie, żeby w taką pogodę wytrzymać. Ludzie zamarzają, mimo że naszych elektrociepłowni Ruscy nie bombardują. Po prostu podania o udzielenie pomocy mieszkaniowej są odrzucane pod byle pretekstem. A ludzie trafiają na ulicę, bo ci, którzy ich bezprawnie wyrzucają, pozostają bezkarni.

Panią Anię wyrzucił były mąż. Były policjant, przy pomocy kolegów z komendy. Nie było wyroku eksmisji, nie było komornika. Była naga przemoc. Ale kto byłemu gliniarzowi podskoczy, skoro w przestępstwie uczestniczyli funkcjonariusze? Kobieta mieszkała od miesiąca na Dworcu Centralnym. Mimo bezdomności chodziła do pracy w ochronie. Bo wbrew temu, co większość uważa, bardzo wielu bezdomnych pracuje. Bezdomna pracująca kobieta zdążyła się zaprzyjaźnić z dworcowymi stróżami porządku, więc kiedy przyśnie na dworcowej ławce, nikt jej pałami po nogach nie bił.

Pani Ania choruje ciężko na nerki i nocowanie na dworcu nie jest dla niej wskazane. Udało nam się umieścić ją w szpitalu. Nareszcie się wysypia, bo ma ciepło. Śpi w czystej pościeli i jest szansa, że zamiast zamarznąć, będzie leczona.

Maciek wyszedł właśnie z aresztu po czterech miesiącach odosobnienia. Jest zdeklarowanym alkoholikiem. Nie ma dość siły, by wytrzeźwieć. Ale przecież gdzieś musi przebywać. Bo przy obecnej pogodzie jest duża szansa, że zaśnie gdzieś pijany i umrze. Regulaminy schronisk dla bezdomnych i noclegowni nie pozwalają wpuścić osób pod wpływem alkoholu. Pozostaje klatka schodowa albo jazda nocnymi autobusami. Jedną z opcji jest izba wytrzeźwień. Tam jest ciepło i mogą nakarmić. Znajoma z kościelnego przytułku ulitowała się nad chłopakiem i wykupiła mu dwie doby w hostelu. Co dalej? Nie wiadomo.

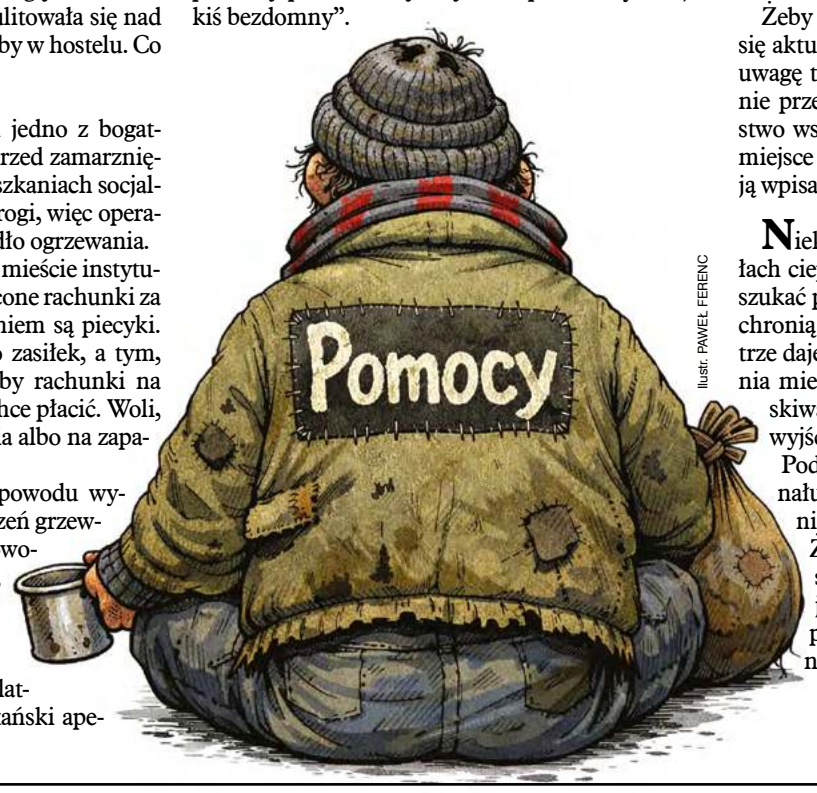
Najbogatsze miasto w Polsce i jedno z bogatszych w Europie nie chroni ludzi przed zamarznięciem. W sezonie grzewczym w mieszkaniach socjalnych grzeje się prądem. Prąd jest drogi, więc operatorzy odłączają energię. Jedyne źródło ogrzewania.

Od lat zabiegamy o stworzenie w mieście instytucji, która brałaby na siebie niezapłacone rachunki za prąd tam, gdzie jedynym ogrzewaniem są piecyki. Miasto mogłoby to traktować jako zasiłek, a tym, którzy by dawali radę, rozkładałoby rachunki na raty. Ale Warszawa jest skąpa, nie chce płacić. Woli, żeby ludzie umierali z wychłodzenia albo na zapalenie płuc.

Ludzie tracą życie nie tylko z powodu wychłodzenia. Giną w pożarach urządzeń grzewczych wątpliwej jakości. Giną z powodu zaczadzenia, bo chcąc się ogrzać, zapominają o zasadach bezpieczeństwa. Priorytetem jest ciepło.

Dziś trudno „przekimać na klatce", bo wszędzie są domofony. Kotański apelował, żeby w srogie mrozy uchylać bezdomnym drzwi do klatek schodowych. Mało kto jednak to robi.

Pamiętam księdza, który bił się z SOK-istami, którzy brutalnie obchodzili się z bezdomnymi na dworcu. Zdarza się, że dla żartu młodzi ludzie podpalają tobołek z dobytkiem bezdomnego albo go skopią. Zdarza się, że na śmierć. Rzadko sprawcy ponoszą sprawiedliwą karę. Bo to przecież tylko „jakiś bezdomny".



Ilustr. PAWEŁ FERENC

A przecież wbrew dość powszechnym opiniom bezdomność to nie kara za grzechy. To wyrok okrutnego losu. Utraty kontroli nad własnym życiem. Bezdomnymi stają się przeważnie ludzie niewypłacalni, zadłużeni, pozbawieni środków do życia. Ludzie w depresji, załamani. Niezdolni, by się dźwignąć z upadku o własnych siłach, otoczeni aurą strachu i obrzydzenia.

Chociaż wielu jeszcze walczy, wielu myje się w szaletach, na stacjach benzynowych albo wykupują karnety na siłownie i tam się myją, żeby chodzić do pracy, żeby jeść żywność ze sklepu, a nie ze śmietnika. Znam takiego, co cztery lata mieszkał w samochodzie na podziemnym parkingu w Kauflandzie, aż wreszcie uzyskał lokal miejski.

Żeby wyjść z bezdomności, trzeba wskazać, gdzie się aktualnie przebywa. Ten przepis nie bierze pod uwagę tego, że bezdomny na ogół nigdzie na stałe nie przebywa. Jest włóczęgą. Kiedyś za włóczęgostwo wsadzano do paki. Dziś, gdy się wskaże jako miejsce pobytu ławkę w parku czy kanał, odmawiają wpisania do kolejki mieszkaniowej.

Niektórzy chronią się przed zimnem w kanałach ciepłowniczych. W kanałach, gdzie chodzimy szukać potrzebujących, słychać świerszcze. One też chronią się przed mrozem. Gorące, wilgotne powietrze daje się we znaki wycieńczonym z niedożywienia mieszkańcom kanału. Nieraz trzeba ich wytaskiwać na powierzchnię, bo nie są już w stanie wyjść o własnych siłach.

Podnosi się metalowa pokrywa wejścia do kanału. Z otworu wynurza się Bronek, były górnik, który chwilowo przebywa w kanale na Żeraniu i zaprasza panią z ośrodka pomocy społecznej do środka na wizję lokalną. Ona jednak nie korzysta z zaproszenia i czym prędzej ucieka. Ktoś, kto upadł tak nisko, nie może liczyć na pomocną dłoń miasta.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl df91f9383b

Profil zadufany

Rząd Tuska pracuje na zwycięstwo PiS

Mija tydzień od wprowadzenia elektronicznego systemu faktur i zgodnie z przewidywaniami malkontentów system przestał udawać, że wszystko jest pod kontrolą. Są już formuły w rodzaju „przepraszamy za utrudnienia” oraz „pracujemy nad rozwiązaniem problemu”, ale z drugiej strony – buńczuczne zapewnienia, że system działa. Zobaczymy, co będą gadać za kolejny tydzień.

KSeF nie tyle „działa, ale nie da się z niego skorzystać”, ile działa wybiórczo, niestabilnie i losowo. To w przypadku systemu rozliczeń gospodarczych jest w istocie gorsze niż całkowita awaria. Zegar, który śpieszy się o siedem minut na godzinę, jest groźny, bo udaje, że działa, a w rzeczywistości wprowadza chaos. Lepiej nie mieć zegara niż mieć taki, który systematycznie kłamie.

Całkowita awaria byłaby przynajmniej uczciwa. Tu natomiast jedni użytkownicy próbują się logować po kilkanaście razy, inni czekają, aż coś się odblokuje, a jeszcze inni wstrzymują wystawianie faktur, bo nie wiedzą, czy dokument wysłany dziś nie okaże się jutro technicznym bytem nieistniejącym.

Głupota, niewiedza i deadline

Kwękacze przewidywali katastrofę, choć – trzeba im to oddać – nie byli w stanie precyzyjnie wskazać miejsca pierwszego pęknięcia. Wskazywano na ryzyka systemowe: fałszerstwa, podszywanie się pod inne podmioty, nadmierną inwigilację obrotu gospodarczego, rozszczelnienie ochrony danych osobowych. Na razie te scenariusze pozostają w sferze potencjalnej. System nie zdążył jeszcze ujawnić wszystkich swoich wad.

Ujawnił natomiast wadę najbardziej prozaiczną i najbardziej kompromitującą: zależność od infrastruktury, która nie była przygotowana na masowe użycie. KSeF okazał się bowiem zakładnikiem profilu zaufanego oraz kwalifikowanych podpisów elektronicznych – narzędzi, które w normalnych warunkach działają poprawnie. Ale nie zostały zaprojektowane na sytuację, w której miliony użytkowników dziennie próbują jednocześnie potwierdzać, podpisywać i wysyłać dokumenty.

W efekcie państwo wdrożyło system, który teoretycznie istnieje, a praktycznie się zapycha. Minister finansów Andrzej Domański nazwie to zapewne „przejściowymi trudnościami”. Przedsiębiorcy nazwą to po prostu kolejnym dniem straconym na walkę z państwowym interfejsem.

Profil zaufany nie wysypał się z powodu błędu, tylko z powodu masowego, jednoczesnego użycia, na które nigdy nie był projektowany. Każde logowanie i każdy podpis uruchamia serię sprawdzeń po stronie państwowych serwerów, które przy milionach żądań zaczynają się zwyczajnie korkować. Ponieważ ten system jest wspólną bramką dla wielu usług, jego przeciążenie blokuje wszystko, co próbuje się przez niego zalogować.

Oczywiście, że dało się to przewidzieć. Wystarczyłoby elementarne doświadczenie z dużymi systemami informatycznymi. Pytanie nie brzmi więc czy, lecz dlaczego nikt tego nie przewidział. Odpowiedź jest banalna: z mieszaniny głupoty, niewiedzy i braku wyobraźni, przyprawionej klasycznym syndromem projektów IT realizowanych na czas. W takich przedsięwzięciach nie projektuje się systemu pod rzeczywiste użycie, tylko pod slajd w prezentacji i datę w harmonogramie. Gdy zbliża się deadline, wszystko, co niewygodne – testy obciążeniowe, scenariusze awaryjne, pytania „co jeśli?” – ląduje w kategorii „zrobimy później”.

Państwo testuje przedsiębiorców

Dodatkowy ból polega na tym, że krwiobieg wymiany informacji gospodarczej – przesyłanie faktur w czasie rzeczywistym – postanowiono wdrożyć 1 lutego. W normalnych latach, gdy zima jest umowna, a temperatura nie spada poniżej minus kilku stopni, problem byłby zapewne mniej dotkliwy. W tym roku jednak walnęło minus dwadzieścia i rzeczywistość zrobiła swoje.

Mamy więc jednocześnie zamarzające tiry z towarem, pociągi, w których pęka to i owo, opóźnione dostawy, porty działające na granicy wydolności oraz kurierów, którzy odkryli, że w chłodnicach mają wodę zamiast płynu niezamarzającego. Innymi słowy: klasyczny zimowy stres – test gospodarki.

I dokładnie w tym momencie państwo uznało, że to idealna chwila, by dorzucić przedsiębiorcom kolejną warstwę problemów. Zamiast koncentrować się na realnych kłopotach – logistyce, dostawach, utrzymaniu ciągłości działalności – prowadzący firmy siedzą przy komputerach i walczą z KSeF-em.

Ale mówiąc uczciwie, to wszystko nie jest jeszcze największym problemem. Problem jest głębszy i ma charakter fundamentalny: dotyczy sposobu myślenia o gospodarce oraz rozumienia ekonomii przez obecną ekipę rządzącą. Ekipa Donalda Tuska jest pod tym względem tylko nieco lepsza od pomysłów na Polskę Jarosława Kaczyńskiego. Tamto oznaczałoby gwałtowną katastrofę, tutaj mamy raczej wydłużoną agonię.

Fakty są banalne: do tej pory obieg gospodarczy funkcjonował w miarę sprawnie. Ludzie prowadzili działalność, wystawiali faktury, rozliczali się. Gospodarka – mimo wszystkich patologii – działała. Skoro więc system działał, to po co było wprowadzać rozwiązanie tak wyrafinowane i centralistyczne, że podstawowy dokument obrotu gospodarczego musi najpierw trafić na serwer ministerstwa, a dopiero potem ewentualnie do swojego faktycznego adresata?

Odpowiedź jest znana i od lat ta sama: uszczelnienie systemu, bo przedsiębiorcy, Polacy, rodacy – jak się zdaje – mają w genach skłonność do kradzieży.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

W ślad za tym pojawiły się wielkie liczby, wykresy, prezentacje i zapewnienia o miliardach z VAT-u, wzroście CIT-u i cudownym domknięciu systemu podatkowego. Rachunkowo i księgowo, owszem, te wyliczenia mogą się nawet zgadzać. Tylko że nikt nie zadał pytania o koszt gospodarczy operacji.

Gospodarka jak Excel

Gospodarka to nie jest arkusz kalkulacyjny. To jest energia ludzi, ich czas, uwaga i zdolność reagowania na realne problemy. A tej energii nie da się bezkarnie przekierować z produkcji, usług i logistyki w produkcję plików, logowanie się do systemów i walkę z interfejsem. Nikt nie policzył, o ile spadnie wydajność gospodarki, gdy przedsiębiorcy, zamiast rozwiązywać codzienne problemy, będą dostawać piany przy wpisywaniu PIN-ów, haseł i kodów po raz osiemnasty z rzędu.

To jest po prostu zła strategia. Nie z powodów ideologicznych, tylko czysto rachunkowych. Dochody podatkowe państwa mają bowiem dwa źródła, a rząd zachowuje się tak, jakby istniało tylko jedno.

Pierwsze źródło to wartość dodana wytwarzana przez produkty i usługi. To ten element, który wszyscy w miarę rozumieją i który nosi wdzięczną nazwę VAT. Im więcej się produkuje i sprzedaje, tym więcej podatku trafia do kasy. To proste.

Drugie źródło jest mniej medialne, ale równie ważne: tempo, z jakim ten VAT powstaje. Mówiąc obrazowo – prędkość obiegu pieniądza w gospodarce. Złotówka, która w tym samym czasie przejdzie przez cztery portfele, wygeneruje dla państwa dwa razy więcej podatku niż złotówka, która utknie w dwóch. I tu zaczyna się komedia.

Państwo, w imię uszczelniania systemu, celowo spowalnia obieg gospodarczy, blokując podstawowe czynności technicznymi barierami. Pieniądz krąży wolniej, transakcje się opóźniają, firmy wstrzymują decyzje. Ekonomia dostaje zadyszki. Państwo liczy faktury. Gospodarka liczy straty.

To nie jest już tylko problem techniczny ani nawet fiskalny. To jest ślepota polityczna połączona z bezkrytycznym administrowaniem cudzymi pomysłami. Rząd Donalda Tuska i minister finansów Andrzej Domański wdrażają rozwiązania narzucane przez Unię Europejską, zapominając zapytać, czy zadanie ma sens w lokalnych warunkach: niedomagająca administracja, przeciążone systemy i chroniczny brak kompetencji wykonawczych.

Wystarczy zajrzeć pod artykuły o KSeF-ie na portalach ekonomicznych. To nie są pojedyncze emocjonalne wpisy, tylko wiadra frustracji sprowadzające się do jednego powtarzanego wniosku: „więcej na nich nie zagłosuję”. Temat przestaje być księgowy, a zaczyna być politycznie niebezpieczny.

Obecna władza zafundowała przedsiębiorcom miesiące chaosu, nerwów i straconego czasu, na których nie wygra żaden system podatkowy. Wygra na tym tylko Prawo i Sprawiedliwość. KSeF może się jeszcze naprawić. Rozczarowania wyborców naprawić się nie da – ono po prostu wróci przy urnach.

ROBERT JARUGA

Zamordowani czy słusznie ukarani?

Czarzasty kontra „Bury”

Są w Polsce zbrodnie, które nosi się na transparentach. I są takie, które od 80 lat trzyma się w piwnicy, bo cuchną prawdą. Te drugie wydarzyły się na Podlasiu. Sprawcą był „Bury”. Ofiarami – prawosławni cywile.

29 stycznia marszałek sejmu Włodzimierz Czarzasty pojechał do Zaleszan, wsi spalonej w 1946 r. przez oddział Romualda Rajsa „Burego”. I właśnie tam ogłosił, że w lutym sejm zajmie się projektem ustawy o zadośćuczynieniu dla rodzin ofiar zbrodni na tle narodowościowym, religijnym i rasowym z lat 1945–1946.

To nie była sentymentalna wycieczka ani lewicowa rekonstrukcja historii. To było polityczne „sprawdzam” rzucone całej władzy, a przede wszystkim Donaldowi Tuskowi i pozostałym akolitom. Plus Adrianowi Zandbergowi i partii Razem. Bo ustawa, którą lewica Czarzastego wnosi do sejmu, jest testem nie tyle na pamięć historyczną, ile na elementarną przyzwoitość państwa.

Piłka jest teraz więc po stronie premiera i szerokiej koalicji rządowej od lewa do Polski 2050. I tu chodzi o naprawdę coś prostego i elementarnego: czy rząd Tuska odważy się zamknąć sprawę, którą przez lata zamiatał pod dywan, również wtedy, gdy prawie sam był u władzy?

A przecież to prawosławne wysepki na Białostocczyźnie i Podkarpaciu w ostatnich wyborach pokazały czerwoną kartkę Karolowi Nawrockiemu, prezydentowi wyrosłemu z IPN-owskiej narracji i kultu „leśnych” (pisaliśmy o tym w „NIE”, nr 23/2025). Kilkadziesiąt tysięcy głosów może nie dało zwycięstwa Trzaskowskiemu, ale dało jasny sygnał, że pamięć też głosuje.

Ten elektorat jest pod tym względem politycznie stabilny. W 2020 r. też dał Trzaskowskiemu fory. Nie ze specjalnej sympatii do śp. Platformy Obywatelskiej, tylko z niezgody na wybielanie ludzi, którzy mordowali ich przodków.

Jak się takim ludziom dziękuje? Nie tweetem na X i nie okrągłym zdaniem o „trudnej historii”. Tylko ustawą. Tą, która w lutym trafi pod sejmowe procedowanie.

Koszt to około 5 mln zł. Jednorazowo. Dla budżetu to drobne miedziaki, ale dla rodzin ofiar zbrodni to pierwsza od 80 lat jasna deklaracja na najwyższym instytucjonalnym szczeblu, że państwo polskie przyjmuje odpowiedzialność za to, co się w przeszłości na tych terenach wyprawiało, w imię Polski od morza do morza.

Projekt tej ustawy przypomina rzecz w Polsce wciąż drażliwą:

skoro III RP uznała prawnie i symbolicznie działalność powojennego podziemia za godną rehabilitacji i pieniężnego zadośćuczynienia, to musi też wziąć odpowiedzialność za cywilów, którzy padli ofiarą jego bandyckich akcji.

Nie tyle „ofiar walk”, ile ofiar zbrodni. I to bardzo szczególnej: w 1946 r. Romuald Rajs „Bury” i jego oddział wysyłali do aniołków wyłącznie prawosławnych. W 2005 r. w oficjalnej „Informacji o ustaleniach końcowych śledztwa” IPN stwierdził językiem urzędowym, że działania te miały znamiona ludobójstwa. Ale w języku potocznym to były po prostu gwałty, prędkie egzekucje, palenie żywcem i strzały w tył głowy. W sumie 79 trupów, w tym kobiet i dzieci.

Co prawda w 2019 r. ten sam IPN ogłosił, że „wobec znacznego postępu badań naukowych” zmienił zdanie – publicystycznie kwestionując pracę własnych prokuratorów z 2005 r. – ale faktów historycznych to nie zmieni. Ani tym bardziej kilkuletniej żmudnej pracy śledczych w tym kontekście.

W nowej wersji „Bury” wymierzał tylko zasłużoną sprawiedliwość sowieckim kolaborantom („Tło opisanej wyżej akcji podziemia narodowego miało charakter polityczny i wiązało się z czynnym poparciem lokalnej ludności dla reżimu komunistycznego”). „Badania naukowe”, na jakie IPN powołał się w tym komunikacie, to kilka wydanych w jego wydawnictwie książek i publicystyka jego własnych, prawicowo zorientowanych pracowników (Michał Ostapiuk). Tak naprawdę chodziło o wytrącenie argumentów z rąk protestujących przeciwko inspirowanym przez PiS marszom faszoli, jakie od 2016 r. ciągnęły ulicami Hajnówki pod hasłem „Bury nasz bohater”.

Co ciekawe, jednym z nielicznych ludzi z obozu prawicy, którzy od lat mówili o prawdziwym charakterze rajdu „Burego”, był Sławomir Cenckiewicz – obecny szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Publicznie przyznawał on, że akcje „Burego” nie miały nic wspólnego z walką o niepodległość; że były zbrodnią wojów wyklętych na ludności cywilnej.

To istotne, bo jeśli ustawa przejdzie przez sejm, trafi na biurko prezydenta Karola Nawrockiego. I wtedy zacznie się prawdziwy test. Nie dla lewicy i nie dla IPN, tylko dla głowy państwa, która będzie musiała zdecydować, czy legenda „wyklętych” jest ważniejsza od faktów ustalonych przez jego niedawną instytucję.

Ta sprawa ma zresztą – przypomnijmy – swoją długą historię porażek. Eugeniusz Czykwin, były poseł lewicy i KO, szef „Przeglądu Prawosławnego”, przez lata składał podobne projekty ustaw. Wszystkie jednak lądowały w sejmowych zamrażarkach. Za PO – cisza. Za PiS – beton. Marszałkini Elżbieta Witek jednemu z nich nie nadała nawet numeru.

Dziś projekt wraca, a my wracamy do magistra historii Donalda Tuska. Bo jeśli liberalny pan premier z europejskimi ambicjami znowu schowa się za frazą „to skomplikowane”, to historia wystawi mu rachunek. Tym bardziej że Nawrocki, paradoksalnie, może okazać się w tym kontekście mniej wygodną wymówką niż przy innych ustawach.

Chociaż tak po prawdzie, to wielkich nadziei w tym temacie nie ma. Chyba że Cenckiewicz ciągle ma dawną odwagę jako historyk, a Batyr przeszedł metamorfozę i upokorzenia retoryczne z ust aktualnego marszałka sejmu potrafi puścić w niepamięć. W co za bardzo nie wierzymy.

JMP

eprasa.pl df91f9383b

Test samoświadomości klasowej

Upiór klasy średniej

Mało jest we współczesnym języku polityków i komentariatu pojęć tak mętnych jak „klasa średnia”. Na ideologiczne funkcje tego pojęciowego upiora w zeszłym numerze zwróciła uwagę Anna Grodzka. Chodzi o to, aby „obywatelskie” społeczeństwo nie buntowało się w obozie przetrwania, jaki stworzyli mieszkańcom planety stachanowcy kapitalizmu.

Efekty tej obróbki mózgów widzimy w myśleniu młodego pokolenia o źródłach życiowego sukcesu. Najważniejsza jest – ich zdaniem – ambicja (20 proc.), potem ciężka praca (15 proc). Dopiero dalej, z kilkunastoprocentowymi wskazaniami, pojawia się fortuna i wiara w wykształcenie. Co najgorsze, tylko kilka procent wskazuje zazwyczaj na pozycję i zasoby finansowe rodziny.

Zanim Netflix nakręci serial oparty na księgach Thomasa Piketty’ego, weźmy klasę średnią pod szkiełko aparatu poznawczego, który przez lata udoskonalali wybitni polscy socjolodzy Stanisław Kozyr-Kowalski i Jacek Tittenbrun.

Praca i własność

Ogólnie udział jednostki w puli wytworzonego bogactwa społecznego zależy od tego, w jaki sposób zdobywa ona środki do życia. Jeśli jesteś właścicielem tylko swojej siły roboczej, musisz podjąć pracę najemną. Lepiej, kiedy jesteś właścicielem materialnych bądź intelektualnych środków produkcji dóbr. Posiadasz wtedy względnie niezależne od własnej pracy czynniki gospodarowania – i to one pozwolą ci żyć, jak chcesz. Mogą to być dary natury jak w Arabii Saudyjskiej albo własność intelektualna, patenty, aplikacje, dzięki którym się bogacą kalifornijscy technobuce.

Ale liczy się także jakość twojej siły roboczej, tzw. kapitał ludzki. Chodzi tu o kwalifikacje zawodowe, o umiejętności praktyczne, kompetencje społeczne, wiedzę z zakresu konkretnej technologii czy znajomość prawa.

Ludzie o zbliżonych atutach w podziale pracy i własności tworzą wielkie klasy społeczne. W społeczeństwie kapitalistycznym najlepiej być właścicielem kapitału pieniężnego, przemysłowego, handlowego czy cyfrowego. Trochę gorszy, choć też przyjemny, jest los menedżera. Klawe życie ma też wysoko wykwalifikowany specjalista. Ale i jedni, i drudzy nie mogą, przynajmniej na razie, obejść się bez klas i stanów pracowniczych.

Bierzemy tu pod uwagę miejsce aktywności zarobkowej jednostki: czy dokonuje się ona w gospodarce, czy w pozostałych (tj. pozagospodarczych) instytucjach życia społecznego – np. w administracji publicznej albo w wojsku. To domena stanów społecznych.

Rozpada się wówczas obraz wielkiej rodziny Polaków – dumnego narodu na rubieżach cywilizacji łacińskiej. Obecnie to mieszkańcy fortu Polanda – zbrojnej zapory przed Czyngis-chamem.

W języku debaty publicznej klasę średnią wyodrębnia kryterium finansowe – zwykle między 75 a 200 proc. krajowej mediany dochodów. To kryterium stosuje nieprzypadkowo także OECD. W Polsce według tego kryterium do klasy średniej należy 11–12 mln ludzi w wieku 24–64 lat. Są to w ogromnej większości – nawet w 85 proc. – pracownicy najemni. Podobnie w populacji mamy ludzi wysokich, niskich i średniego wzrostu. Cenna informacja dla krawca czy trenera koszykówki.

Klasa menedżerska

Awangardę klasy średniej stanowi klasa menedżerska. Jej członkowie kierują firmami o różnym statusie, w tym polskimi filiami zagranicznych korporacji. Zajmują się zarządzaniem, ale posiadają też kapitał akcyjny czy nieruchomości. Stanowią więc swoistą hybrydę: mają i dochody z własności, i dochody płacowe. Szczególnie cenny dla podtrzymania Systemu jest top management: prezesi i członkowie zarządów giełdowych spółek. To oni kierują wielkimi korporacjami przemysłowymi, bankami, funduszami inwestycyjnymi. Mają otwarte drzwi do gabinetów władzy. Ich symbolem może być szef największego amerykańskiego funduszu inwestycyjnego BlackRock i król tegorocznego forum w Davos Larry Fink, który bez problemu ściągnął do Szwajcarii Donalda Trumpa.

W Polsce niektórzy przedstawiciele tej klasy pracują w spółkach skarbu państwa, z epizodami pracy w bankach, ale także w rządzie – jak Mateusz Mazowiecki, Daniel Obajtek czy Andrzej Domański. Tworzą poligarchię – kumulują majątki, dyspozycje władcze zarówno w gospodarce, jak i w administracji publicznej.

To w ich interesie państwo nadwiślańskich liberałów wybija się na suwerenność, by chronić krajowe bieda-firmy. Polscy kapitaliści przemysłowi i handlowi okupują bowiem końcowe ogniwa łańcuchów produkcji i dystrybucji, a więc o małej wartości dodanej: papier toaletowy, meble, biura unikania podatków, standardowe profile okienne. Potrafili tylko stworzyć centrum logistyki dla zagranicznych firm, jak magazyny bezosowego Amazona. Dzięki temu powstała kolejna polska specjalność w 20. gospodarce świata: usługi transportowe.

Siły kapitału – specjaliści

Menedżerów wspiera drużyna specjalistów: bankowi ekonomiści, prawnicy, spece reklamy i marketingu, maklerzy, planiści, inżynierowie kontrolujący pracę robotów przemysłowych, konserwatorzy, twórcy programów komputerowych. Słowem: to kadry, zaciężni najemnicy kapitału zblatowani z Systemem. Polscy working rich stanowią 5–17 proc. najlepiej sytuowanych. Przejmują według różnych badań około 40 proc. dochodu narodowego. Zwykle to jednoosobowe firmy B2B. To ich Leszek Miller uszczęśliwił 19-procentowym podatkiem liniowym. Pełnią nie tylko „kulturotwórczą” rolę przewodników stylu konsumpcji. Ich śladami chcą podążać absolwenci uczelni wyższych, zwłaszcza ekonomicznych. Nie zadowalają ich zegarki Cartiera, elektryki klasy premium. Teraz siadają za sterami prywatnych samolotów.

To polska klasa kompradorska – korzysta z nadwyżek osiąganych przez zagraniczne filie korporacji. Eksploatują one tanią pracę rodzimych klas pracowniczych, podwykonawców i poddostawców. Firmy te korzystają z polskiego dużego wewnętrznego rynku, z optymalizacji podatkowej.

Rodzimi poligarchowie pomogli zagranicznym korporacjom opanować sektor finansowy, handel wielkopowierzchniowy. Sprywatyzowali też ponad 600 przedsiębiorstw zbudowanych przez PRL, często za równowartość działek budowlanych. Z ich poręki 3 proc. polskiego PKB trafia do macierzystych siedzib korporacji w postaci zysków. Sami zaś mogą grać w giełdowym kasynie na małą polską miarę, bo to tylko 0,35 proc. światowych przepływów kapitałowych.

Zaludniają pogardzane przez prowincję salony wielkich polskich miast, w których logo zastąpiło herb. Mając duże dochody i majątki, dokonują secesji ze wspólnoty życia i pracy. Potrzebne usługi zdrowotne dla siebie czy edukacyjne dla dzieci kupują na rynku prywatnym, nie chcą płacić podatków. O ich polityczną reprezentację walczy PO, PSL, Polska 2050, Konfederacja i… przypudrowany socjalną wrażliwością PiS.

Inteligencja

Do umownej klasy średniej należy też tradycyjna w Europie Wschodniej inteligencja. To stany wyższego wykształcenia, specjaliści wykonujący pracę pozaprodukcyjną: lekarze, nauczyciele, prawnicy w systemie sądownictwa, wyżsi rangą urzędnicy, piastujący kierownicze stanowiska w wojsku, policji, służbie zdrowia, edukacji.

Należą tu też ludzie władzy politycznej, a także pracy duchowej: uczeni, duchowni, dziennikarze, artyści. To oni przed erą Zuckerberga tworzyli elitę kulturową i intelektualną swoich krajów. Zdaniem Jana Hartmana „łączyły ich maniery, język, a przede wszystkim kod kulturowy i wartości”. Są tu też pracownicy budżetówki o niższych kwalifikacjach: pracownicy biurowi, pracownicy centralnej i lokalnej administracji rządowej i samorządowej na średnich szczeblach zarządzania. Ogólnie to sfera budżetowa żyjąca z wtórnego podziału dochodu narodowego. To oni stanowią obecnie potencjalną bazę lewicowych formacji.

Nowy proletariat

Powstaje pytanie, do jakiej klasy zaliczyć office proletariat. To pracownicy sektora usług dla korporacji w stolicy, w Krakowie, we Wrocławiu – w polskich centrach obsługi biznesowej. Ich liczba sięga 300 tys. To pracownicy z wyższym wykształceniem, ze znajomością języków obcych, znający kulturę organizacyjną. Wypełniają formularze sprawozdań, wysłuchują reklamacji. To odpowiednik dawnych pracowników fabrycznych, tyle że rękami uderzają w komputerowe klawiatury. Męczą oczy, śledząc szare szeregi cyferek. Boli ich kręgosłup, dobija monotonia pracy pod nadzorem korporacyjnego kapo.

W tej grupie są też bezpośredni nadzorcy pracy produkcyjnej – brygadziści, majstrowie. Znajdujemy tu też klasę pracowników najemnych zatrudnionych w handlu, w bankach, w usługach, w korporacyjnych boksach. To m.in. tzw. konsultanci w sprzedaży telefonicznej i internetowej, doradcy klienta. Są pracownikami najemnymi często z dużymi kwalifikacjami. Nadal jednak ponad połowa poszukiwanych pracowników to pracownicy szeregowi i fizyczni – tradycyjne klasy pracownicze.

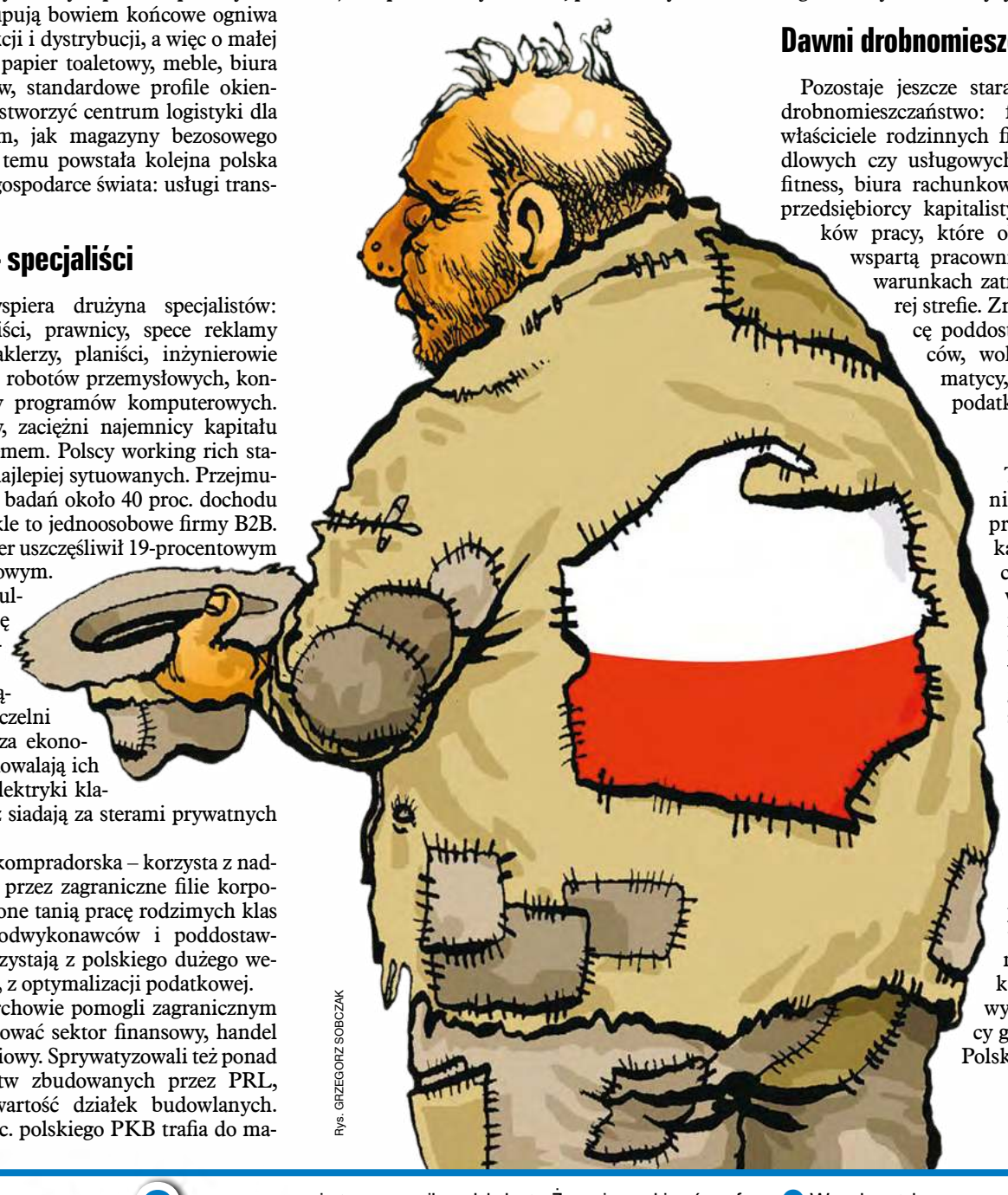
Dawni drobnomieszczanie

Pozostaje jeszcze stara klasa średnia, dawne drobnomieszczaństwo: farmerzy, rzemieślnicy, właściciele rodzinnych firm budowlanych, handlowych czy usługowych (restauratorzy, branża fitness, biura rachunkowe). To drobni i średni przedsiębiorcy kapitalistyczni, posiadacze środków pracy, które obsługują własną pracą, wspartą pracownikami na niestabilnych warunkach zatrudnienia, często w szarej strefie. Znajdujemy tu też drobnicę poddostawców i podwykonawców, wolnych strzelców (informatycy, influenserzy, doradcy podatkowi).

• • •

To krótkie abc zróżnicowania społecznego przypomina nadal obraz kapitalizmu, jaki naszkicował w swoich dziełach wielki francuski historyk Fernand Braudel. Realny kapitalizm to w istocie piramida bogactwa i władzy. Na jej szczycie znajdują się zawsze wielcy posiadacze kapitału pieniężnego operujący na różnych polach akumulacji – kiedyś John Law, dziś Peter Thiel, Elon Musk czy Jeff Bezos. Szeroką podstawę tej piramidy tworzy plankton drobnych producentów. Tu konkurują ze sobą podwykonawcy i poddostawcy globalnych firm. I tu jest Polska właśnie.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ



Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Życie w dobrobycie

Państwo, które nie potrafi godnie zapłacić ludziom pilnującym jego pieniędzy, samo prosi się o kłopoty. Dlatego pracownicy Krajowej Administracji Skarbowej zapowiadają strajk włoski. Moment wybrali sobie wyśmienity. To przecież szczyt sezonu rozliczeń PIT. Miliony ludzi składają zeznania i czekają na zwroty nadpłaconego podatku. Urzędnicy skarbówki strajkować formalnie nie mogą, bo należą do korpusu służby cywilnej. Wolno im jednak pracować „ekstremalnie dokładnie”. Czyli dokładnie tak, jak nakazują procedury. Każdy papierek osobno, każda rubryka po trzy razy, każdy przecinek pod lupą. Pracownicy KAS domagają się bowiem podwyżek wynagrodzeń i poprawy warunków pracy. Choćby wymiany krzeseł. Bo 90 proc. tych mebli nie spełnia wymogów BHP. Państwo, które ściąga podatki od wszystkiego, co się rusza, nie ma pieniędzy na krzesła dla ludzi, którzy te podatki liczą, kontrolują i egzekwują. Trudno o lepszy symbol.

Hasło „rynek pracownika” było zaklęciem. Powtarzanym w mediach, raportach i wystąpieniach polityków. Miało uspokajać, dodawać otuchy i budować przekonanie, że to pracownik rozdaje karty. Że może przebierać w ofertach, dyktować warunki i co roku liczyć na solidną podwyżkę. Ten etap się skończył. Z „Raportu płacowego Hays Poland 2026” wynika jasno, że rynek wchodzi w fazę płacowej stabilizacji. W tłumaczeniu na język ludzki oznacza to, że podwyżki są, ale takie, że ledwo je widać. W 2025 r. wynagrodzenia wzrosły w 80 proc. firm, tylko że w większości przypadków były to korekty rzędu 2,5–5 proc. Tylko co dziesiąta firma zdecydowała się na podwyżki przekraczające 10 proc. W 2026 r. 74 proc. firm planuje dalsze podwyżki, ale tylko 5 proc. zakłada wzrost wynagrodzeń powyżej 10 proc. To zaś nie przekłada się na zadowolenie. Bo choć 74 proc. specjalistów i menedżerów dostało w 2025 r. podwyżkę, tylko 39 proc. deklaruje satysfakcję z wynagrodzenia. Aż 42 proc. uważa, że ich płaca nie jest adekwatna do zakresu obowiązków. I dlatego 66 proc. pracowników oczekuje kolejnych podwyżek w 2026 r. Więcej niż rok wcześniej. Co piąta firma wskazuje zmiany strukturalne jako główny powód rekrutacji. To rekord w historii badania. Firmy nie rosną, tylko się przebudowują. Zwalniają jednych, zatrudniają innych. W finansach i księgowości podwyżki najczęściej nie przekraczały 5 proc. Prawo i podatki to jeden z nielicznych obszarów, gdzie dynamika była wyraźnie wyższa. Średnio 8–9 proc., a w podatkach nawet 10–15 proc. Dyrektor działu prawnego zarabia dziś najczęściej około 35 tys. zł, członek zarządu ponad 60 tys. zł. I to właśnie ci, którzy sami sobie ustalają wynagrodzenia, mogą mówić o realnych wzrostach.

Wzrosły ustalane przez państwo stawki minimalne za czynności adwokatów i radców prawnych. „Stawki podlegające modyfikacji wywodzą się z 2015 r. i przestały odzwierciedlać współczesne warunki ekonomiczne” – przekonuje Waldemar Żurek. I dodaje, że „podwyższenie opłat adwokackich nie wpłynie na ceny usług prawnych”. To zdanie ma uspokajać. Problem w tym, że nikt, kto choć raz płacił prawnikowi z własnej kieszeni, nie bierze go poważnie. Bo stawki minimalne poszły w górę solidnie. Nader



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl df91f9383b

Uszlachetniani bólem

W Polsce nie ma prawa do śmierci. W Polsce śmierć ma prawo do ciebie.

Jeśli jesteś Polakiem i chcesz umrzeć na własnych warunkach, wystarczy mieć 50 tys. zł. Tyle dziś kosztuje pożegnanie się z cierpieniem w Zurychu. Bo w Warszawie, Poznaniu czy Lublinie możesz co najwyżej leżeć i czekać, aż ból sam zdecyduje, że ma cię już dość.

Ludzie z jedną walizką i ostatnim podpisanym dokumentem lądują w Szwajcarii, by w klinice dostać śmiertelny koktajl – legalnie, czysto, bez kłopotów dla lekarzy. W 2024 r. takich osób było 280. Większość z nich była z Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch. Niektórzy – z Polski.

Stąd do wieczności

W Belgii procedura jest jeszcze tańsza – jedna dziesiąta szwajcarskiego kosztu. Tam eutanazji poddano w 2024 r. 3991 osób. Ponad 10 dziennie. Od 2002 r. – czyli od momentu legalizacji – liczba zabiegów wzrosła ponad 17-krotnie. A w Holandii? Tam 9958 przypadków w 2024 r. Więcej niż co 20. śmierć w Niderlandach to już zaplanowane odejście. Ale zanim mieszkaniec kraju tulipanów opuści ten łez padół, zalicza formalności. Sam musi poprosić. Sam, słownie i bez sugestii. Lekarz musi potwierdzić, że prośba była poważna, powtarzalna i nie wynikała z chwilowego spadku nastroju. Potem trzeba jeszcze drugiego lekarza, który sprawdzi, czy cierpienie rzeczywiście jest nie do zniesienia i nieuleczalne. Dopiero potem – i nie wcześniej – można wyjąć zestaw: dwie strzykawki, jeden wenflon i kilka minut ciszy.

W 2024 r., jak wyliczyli ci od formularzy i tabel, prawie 10 tys. osób w Holandii złożyło taki wniosek. Prawie 6 proc. wszystkich zgonów w tym kraju. Najwięcej takich przypadków to ludzie po siedemdziesiątce. Nie leżący w mroku sal szpitalnych, lecz często jeszcze mówiący, jeszcze oddychający bez pomocy aparatury.

80 proc. holenderskich eutanazji dotyczy ludzi po sześćdziesiątce. W ostatnich latach coraz więcej przypadków dotyczy osób z depresją, schizofrenią, lękiem, zaburzeniami obsesyjno-kompulsyjnymi. Nie ma guza, nie ma przerzutów – jest dusza, która boli. Próg bólu psychicznego też potrafi być nie do zniesienia. I Holandia to uznaje. W 2024 r. takich przypadków było kilkaset.

W Holandii dopuszcza się możliwość eutanazji osób niepełnoletnich. W szczególnych przypadkach, przy nieuleczalnych chorobach, za zgodą rodziców, ale też samego młodego człowieka, jeśli ma więcej niż 12 lat. I choć to rzadkość, to jednak nie wyjątek.

Prawo do człowieczeństwa

W Szwajcarii organizacja Dignitas zgłosiła w 2024 r. 280 wspomaganych zgonów. W 2023 – 221. Wzrost jest realny i wynika ze zmiany podejścia do bólu. Bólu, który przestał być prywatnym dramatem, a stał się tematem społecznym.

W Portugalii – po długiej batalii i prezydenckim wecie – wreszcie przegłosowano ustawę w 2023 r. Hiszpania poszła tą samą drogą w 2021. Austria zmieniła prawo w 2022, Niemcy w 2020 usłyszały od Trybunału Konstytucyjnego, że zakaz wspomaganej śmierci to zamach na autonomię jednostki. We Włoszech region Toskania nie czekał na parlament – przeprowadził swoją pierwszą legalną eutanazję w czerwcu 2024 r.

Każdy kraj ma swoją ścieżkę – z dokumentami, opiniami, klauzulami sumienia i warstwami zabezpieczeń. W Belgii zasady odchodzenia na własnych warunkach są mniej restrykcyjne niż holenderskie. Tu eutanazję można przeprowadzić również na nieletnich – nawet bez dolnego limitu wiekowego. Wystarczy zgoda rodziców i stwierdzenie nieznośnego cierpienia. Wspomniana wcześniej Szwajcaria ma inny model – bardziej rynkowy. Tam procedura jest otwarta także dla obcokrajowców. Warunek? Brak motywacji finansowej po stronie osoby pomagającej. Poza tym – wolna droga. Organizacje takie jak Dignitas i Lifecircle zapewniają pełny pakiet usług: od konsultacji medycznej przez przygotowanie dokumentów po logistykę dnia śmierci.

Austria, Niemcy, Hiszpania i Portugalia – każdy kraj inny, ale wspólny mianownik ten sam: prawo człowieka do zakończenia cierpienia. W Austrii trzeba mieć ukończone 18 lat i opinię dwóch lekarzy – jeden z nich musi mieć doświadczenie w leczeniu paliatywnym. Potem obowiązkowy okres refleksji – co najmniej 12 dni – i dopiero wtedy można uzyskać środek kończący życie.

W Hiszpanii procedura działa od paru lat. Chorzy składają pisemną prośbę. Musi być potwierdzona przez dwóch lekarzy i zatwierdzona przez komisję. W 2023 r. z tej możliwości skorzystało ponad 400 osób – liczba rośnie, ale system nadal jest nowy i rozwija się powoli. Portugalia idzie podobnym tropem: procedura uwzględnia nieuleczalność, nieznośność cierpienia i świadomą wolę pacjenta. Kościół zgrzyta zębami, ale społeczeństwo nie chce już tylko czekać.

Nieutuleni w bólu

W Polsce? Cisza. Ani projektu. Ani debaty. Ostatni raz pytano Polaków o eutanazję w 2009 r. CBOS zapytał i wyszło, że prawie połowa – 48 proc. – uważa, że lekarz powinien spełniać wolę nieuleczalnie chorego. Większość chciała prawa, które pozwala zakończyć cierpienie. I co z tym zrobiono? Nic. Od 15 lat nie odważono się zapytać ponownie. Bo po co? Może wynik byłby jeszcze gorszy – dla sumień tych, którzy boją się, że Polacy zaczną mówić nie tylko o związkach partnerskich i aborcji, ale też o czymś znacznie bardziej radykalnym: o prawie do zakończenia życia na własnych warunkach. Władza boi się pytać, bo może odpowiedź byłaby zbyt prosta. Bo może Polacy są mniej katoliccy, niż się wydaje. A może po prostu – bardziej ludzcy.

W Polsce cierpienie nadal ma więc sakralny wymiar. Cierpienie uszlachetnia. Cierpienie daje punkty do nieba. Cierpienie wypełnia misję. Ale chorzy nie chcą misji. Chcą godności. Ciszy bez bólu. System się tego boi, ale z drugiej strony wie, że odejście na własnych warunkach to ulga nie tylko dla pacjenta. To wymierna oszczędność dla szpitala, lekarzy, budżetu. To mniej morfiny, mniej sal, mniej opiekunów. Mniej kosztów. W Holandii mówi się wprost o tym, że legalna eutanazja to także sposób na odciążenie systemu. Tak jak aborcja zmniejsza liczbę porzuconych dzieci, tak eutanazja zmniejsza liczbę dramatów na oddziałach opieki paliatywnej. Ale w Polsce o takich rzeczach się nie mówi. I choć brzmi to brutalnie, to właśnie

ekonomia staje się nader istotnym czynnikiem w debacie o prawie do odejścia. Bo nie tylko chorzy szukają ulgi. Szuka jej także system zdrowia, który dobrze wie, że terminalny pacjent to dziesiątki tysięcy złotych miesięcznie.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Znieczulenie kosztuje. Leczenie – jeszcze więcej. A śmierć? Tylko decyzję.

Ale w Polsce wciąż trzeba cierpieć. Bo przecież „cierpienie zbliża do Boga". Tak mówi Episkopat. Tak mówią posłowie. Tak mówią ci, którzy nigdy nie leżeli tygodniami w bólu, czekając na koniec, którego nie widać.

Dziś w Europie można już zaplanować śmierć z wyprzedzeniem. W Belgii dokument trzeba odnawiać co pięć lat. W Holandii – nie ma daty ważności, ale lekarz oczekuje aktualizacji. Taki testament życia – nie po to, by przekazać majątek, ale by zatrzymać ból. A mimo to decyzja zawsze należy do lekarza. To on ostatecznie podpisuje. I to on, nie Bóg, zamyka oczy pacjentowi.

W Polsce żadna ustawa nie chroni prawa do godnej śmierci. Żaden minister zdrowia nie odważy się powiedzieć, że czasem lepiej umrzeć niż żyć z bólem. Żaden prezydent nie podpisze takiej ustawy.

A odbierające człowieczeństwo cierpienie nie potrzebuje aprobaty. Ono jest. I czeka. Tak jak czekają tysiące ludzi – w domach, szpitalach, hospicjach – z pytaniem, którego nie mogą zadać, bo nikt nie ma odwagi im odpowiedzieć. I dopóki nie odpowie, Polska będzie krajem, w którym śmierć w męczarniach jest obywatelskim obowiązkiem.

TADEUSZ JASIŃSKI

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Księdza Michała Olszewskiego z góry skazano, choć jego proces dopiero ruszył.* ***Lewacy mówią, że trzeba wspierać każdego, kto jest wykluczony. A oni zniszczyli potężne dzieło tylko dlatego, że ma podłoże katolickie. Antropologia, która by się tam zrealizowała, również ma podłoże biblijno-katolickie. Dlatego jesteśmy świadkami wykluczania z przestrzeni społecznej Kościoła.***

dr Artur Dąbrowski, prezes Akcji Katolickiej Archidiecezji Częstochowskiej, Radio Maryja, 29 stycznia

■ *Zwracam się do Państwa z ogromną prośbą o modlitwę o zaprzestanie działań zmierzających do zlikwidowania Radia Maryja i Telewizji Trwam.* (…) ***Te działania są przemyślane i bardzo konsekwentnie zdeterminowane, a robią to ludzie mający władzę i będący zaangażowani w światowej wojnie cywilizacyjnej. Są po stronie przeciwników chrześcijańskiej cywilizacji. Sytuacja jest poważna, a działania zmierzające do likwidacji nas przyspieszają. Wojna przeciw Muzeum „Pamięć i Tożsamość" to tylko pretekst i etap w zamiarze zniszczenia naszych mediów.***

o. Tadeusz Rydzyk, Radio Maryja, 27 stycznia

■ *UE zmierza do samozagłady.* ***Świat budowany na nazizmie, komunizmie i dyktaturze relatywizmu nie ma przyszłości.***

ks. Janusz Chyła, X, 28 stycznia

■ *Rządzący zapowiedzieli opiłowywanie katolików i są w tym konsekwentni.* (…) *Ci ludzie nie liczą się z Konstytucją RP i mówią bardzo wyraźnie, że prawo jest takie, jak oni je rozumieją.* ***Jesteśmy świadkami tego, iż to wszystko nie tylko skupiło się na szkole, walce z lekcjami religii, ale również we wszystkich dziedzinach, które są naznaczone obecnością tradycji i kultury chrześcijańskiej, która ukształtowała nasz kraj. Tutaj trzeba być zmobilizowanym i nie dawać pola lewakom do tego, aby oni zajęli przedmioty, które mają uczyć moralności.***

dr Artur Dąbrowski, prezes Akcji Katolickiej Archidiecezji Częstochowskiej, Radio Maryja, 23 stycznia

■ ***Kiedy w zachodniej Europie lewactwo prześladuje chrześcijan i rodzinę, deprawuje nasze dzieci i odbiera prawa rodzicielskie, należy robić kampanię reklamową, która ściągnie do Polski rodziny wielodzietne z takich krajów jak Niemcy, Francja, Anglia, Benelux.*** *„Polska – kraj wolny od islamu i LGBT" – z czasem takie hasło sprowadzi do nas tych, którzy na Zachodzie będą się czuć coraz mniej bezpiecznie.*

Damian Wojciechowski TJ, Opoka.org., 27 stycznia

■ *Między 18. a 30. rokiem życia jest przewaga dziewcząt, które mają poglądy lewicowo-liberalne i młodych mężczyzn, którzy mają poglądy konserwatywne.* (…) ***Kiedyś duszpasterstwa były zdominowane przez grzeczne dziewczynki, a teraz przez młodych mężczyzn, którzy pozują na twardzieli. Zjawisko Wojowników Maryi, rycerzy Maryi, Męskie Różańce – okazuje się, że to nie jest czysto polski fenomen.*** *Tego typu męskie młodzieżowe duszpasterstwa się rozprzestrzeniają.* (…) ***Jak obserwujemy pokolenia współczesnych nastolatek, to widzimy, że zmieniają się kanony piękna i szpetoty, wstydu, pewnej wulgarności (…). To jest w dużej mierze związane z ofertą kulturową, która trafia dzisiaj do młodych kobiet, bo ona jest bardziej atrakcyjna.***

red. Grzegorz Górny, TV Trwam, 19 stycznia

KLECHA



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

---

często o 100 proc. Sprawy o pozbawienie, ograniczenie czy przywrócenie władzy rodzicielskiej – z 240 do 480 zł. Wpisy w księgach wieczystych – też z 240 do 480 zł. Spisy inwentarza, zabezpieczenie spadku, ogłoszenie testamentu – ze 120 do 240 zł. Ubezwłasnowolnienie – z 480 do 960 zł. Warunkowe przedterminowe zwolnienie – z 240 do 480 zł. Można by tak długo. W innych sprawach wzrost wynosi „tylko" 50 proc. Dochodzenia – z 360 do 540 zł. Śledztwa – z 600 do 900 zł. Postępowania w sprawach o wykroczenia przed sądem rejonowym – z 360 do 540 zł. Odroczenie albo przerwa w karze – z 360 do 540 zł. Każda z tych kwot to stawka minimalna. Czyli punkt wyjścia. Radcom prawnym i adwokatom gorzej więc nie będzie. Wręcz przeciwnie. Wyższe stawki mają „zwiększyć zainteresowanie prowadzeniem spraw z urzędu". Czyli państwo chce, żeby prawnicy chętniej brali sprawy ludzi, których nie stać na pełnomocnika. I to akurat ma sens. Tyle że system działa tak, że im droższy jest prawnik, tym bardziej obywatel trzy razy się zastanowi, zanim w ogóle pójdzie do sądu. Efekt jest prosty do przewidzenia. Zamiast walczyć o alimenty, spadek, niesłuszne zwolnienie czy błąd urzędu, wielu uzna, że nie warto. Że koszt, stres i ryzyko są większe niż potencjalna wygrana. Sprawiedliwość stanie się towarem jeszcze bardziej luksusowym.

● Statystycznie Polacy kupują dziś więcej niż jeszcze kilka lat temu. Statystyki konsumpcji wyglądają jeszcze lepiej, a w portfelach wielu Polaków jest więcej pieniędzy niż dawniej. Tymczasem rok 2025 był dla handlu rokiem zwijania interesów. Duże sieci jedna po drugiej zaczęły ciąć koszty tam, gdzie boli najbardziej – na etatach. Trudno się więc dziwić, że w sklepach coraz częściej zamiast sprzedawców stoją kasy samoobsługowe, a zamiast planów rozwoju pojawiają się komunikaty o zamykaniu placówek. Sieć Makro zamknęła hale w Rybniku, Słupsku, Toruniu i Zabrzu. 400 osób straciło pracę. W tym samym czasie swoje struktury przycinały też inne znane marki handlowe, które jeszcze niedawno zapewniały, że „Polska to rynek perspektywiczny". Największą skalę zwolnień zapowiedziała jednak grupa Eurocash, mówiąc, że w ciągu dwóch lat pożegna się z 3 tys. pracowników. Do listy problemów handlu dołączyła też branża meblowa. Black Red White ogłosiła zwolnienia obejmujące 800 osób – zarówno z fabryk, jak i z biur. Nie tylko polskie firmy mają kłopoty. W krakowskim oddziale Aldi Nord pracę straciło około 100 osób. Z kolei Henkel zdecydował się zamknąć zakład w Raciborzu, co oznacza 159 zwolnień. Do tego grona dołączył Carrefour. Francuska sieć ogłosiła, że w 2026 r. zamknie w Polsce osiem sklepów i zredukuje zatrudnienie w strukturach centralnych – według zapowiedzi pracę może stracić około 250 osób. Oficjalny powód? Dostosowanie do „wymagającego rynku" i presji kosztowej. I tu pojawia się paradoks. Z jednej strony Polacy są coraz bogatsi, wydają więcej, latają na wakacje i remontują mieszkania. Z drugiej – handel nie potrafi na tym zarobić. Handel w Polsce znalazł się więc w dziwnym miejscu. Klienci są, pieniądze krążą, a mimo to sklepy się zamykają, a pracownicy dostają wypowiedzenia. I wygląda na to, że w najbliższych latach ten problem sam się nie rozwiąże.

● Europa przegrywa wojnę o produkcję samochodów z Chinami. To fakt, który właśnie zapukał do Polski. Związki zawodowe w tyskiej fabryce FCA Poland należącej do koncernu Stellantis dostały pismo o zamiarze przeprowadzenia zwolnień grupowych. Od marca znika trzecia zmiana. Pracę straci 742 ludzi. Fabryka w Tychach to nie jest montownia z tektury. To zakład, w którym produkowane są Alfa Romeo Junior, Jeep Avenger i Fiat 600. Pracowało tam 2,6 tys. osób. Od marca będzie ich wyraźnie mniej. Wśród zwalnianych 140 osób ma umowy na czas nieokreślony, około 300 pracuje na czas określony, a kolejne 300 to pracownicy agencyjni. Czyli ci, których najłatwiej wyrzucić poza nawias statystyk. Powód – brak zamówień. Zgodnie z unijnymi regulacjami Europa nie sprzedaje elektryków, więc nie może produkować spalinowych. Efekt jest taki, że fabryki stoją, ludzie idą na bruk, a rynek – zamiast się zazieleniać – po prostu się zwija. Związki zawodowe zapowiadają walkę o wysokie odprawy. Ich zdaniem nie mogą być niższe niż 24-miesięczne, a optymalne byłyby 36-miesięczne. Argument jest prosty: we Francji fabryk się nie zamyka, bo odprawy są tak wysokie, że taniej jest produkować dalej. Problem w tym, że Tychy to dopiero początek, bo zwolnienia w firmach kooperujących ze Stellantis mogą sięgnąć nawet 3,5 tys. osób. I w tym miejscu wracamy do Chin. Stellantis w grudniu zapowiedział inwestycje w Brazylii o wartości 100 mld euro. Dlaczego tam? Bo tam nie ma unijnych ograniczeń emisji CO_2. Europa przegrywa motoryzację. Polska właśnie dostała potwierdzenie tej porażki na piśmie.

TTJ

eprasa.pl df91f9383b

Łapówki dla szpitali za zamykanie oddziałów – studium przypadku.



Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

Trupogodziny

Bardzo trudno pisać reportaż o miejscu, które jako pacjent poznałem od trzewi. Szpital Neuropsychiatryczny im. prof. Mieczysława Kaczyńskiego w Lublinie – przez pacjentów zwany po prostu Abramowicami – Oddział Detoksykacji dla Osób Uzależnionych od Substancji Psychoaktywnych. Dla mnie: tysiące historii, setki ludzi, dziesiątki własnych pobytów. Reportaż wcieleniowy – moja specjalność, ale tutaj wcielałem się o x razy za dużo. To nie jest tekst o pracy w Żabce w ochronie. To duża część mojego pijacko-narkotycznego życia i piekła wychodzenia.

Sukces terapeutyczny nie zawsze polega na trzeźwości. To skracanie ciągów, by w razie nawrotu samemu zameldować się na oddziale. Nie po kwartale, ale trzech dniach. Nałóg to siła większa – jak dźwig czy może raczej buldożer. Silna wola nie istnieje.

Pacjenci i personel lubelskiego detoksu zaalarmowali: chcą zlikwidować jedyne miejsce, które potrafi ten buldożer zatrzymać. Roboczogodziny wskoczyły w rubrykę „Trupogodziny". Nowy dyrektor szpitala Sławomir Błażej nie zamyka oddziału wprost – on likwiduje kadrę terapeutyczną, chcąc zamienić leczenie w nadzór penitencjarny.

Gacek i Jaho nie żyją

Gacek – postać znana bywalcom. Za życia legenda, dziś historia ku przestrodze. Używam ksywki, choć telewizja nie miała skrupułów. Leżał na łóżku, patrząc w sufit. Jego stopy przypominały krwawą miazgę po tym, jak świadomie dwukrotnie przejechał po nich kierowca. Tu nie ma lekkich przypadków.

Krew Gacka na kafelkach nie miała szans zastygnąć. Teoretycznie nie ma jej kto zmyć, bo pielęgniarka w tym czasie walczy o pacjenta w sali obok, a terapeuta próbuje przekonać kolejnego cienia w dresie, by nie wychodził w nocy na ulicę. Stary kumpel, zgłosiłem się. Dwóch na sali, zmywałem więc krew co kilka dni, gdy noga w kostce nabrzmiała, skóra pękała, a gejzer zalewał dosłownie wszystko. Pielęgniarki mnie przygotowały, ostrożność jest kluczowa. Ryzyko chorób zakaźnych – ogromne. Zdawałem sobie z tego sprawę, ale przyjaciela nie zostawię. Moją nagrodą było to, że mimo grymasu bólu na twarzy co jakiś czas wybuchał śmiechem podczas korytarzowych driftingów, które robiliśmy jego wózkiem inwalidzkim. Gdy było źle, personel przynosił mu do łóżka telefon, by umówił się ze specjalistą. Perspektywa – ponowne łamanie i żmudne składanie każdej kostki stopy. Przeciągałem pobyt tak długo, jak mogłem. Wychodząc, poprosiłem kolegę, by się nim zajął. Ale z nim Gacek nie miał wspólnych wspomnień. Dwa dni po mnie się wypisał. Nie chciał zostać, nie chciał być całodobowym ciężarem dla kogoś, kogo nie znał tak dobrze. A potem gruchnęła wieść – Gacek nie żyje.

Wtedy był jeszcze żywym wyrzutem sumienia. Pamiętam jego opowieść o tym, jak dał się podejść „wielkim mediom". Przyjechali z „Uwagi" TVN, obiecali złote góry za pokazanie twarzy i opowiedzenie historii. Gacek chciał tylko dekoder do telewizora na oddziałową świetlicę, żeby inni mieli; on rzadko oglądał. Swoją część umowy wypełnił: sprzedał twarz, ból i intymność nałogu. Dekoder nigdy nie dotarł. Doktor Kaciuba dzwonił potem do stacji – bez efektu. Wielki świat mediów przeżuł Gacka i wypluł, nie zostawiwszy mu nawet głupiego urządzenia własnej stacji.

Gacek nie żyje, zmarł również Jaho, Kacper, zmarła Majka…

Wymieniać mógłbym bardzo długo, same epitafia to historia ludzi, którzy – mimo iż system skazał ich na śmierć – dzięki personelowi oddziału wydarli jeszcze kilka, kilkanaście lat życia więcej. Jaho z nakazem eksmisji i prośbą, bym go ratował. Majka, którą wielokrotnie na plecach przywoziłem na oddział. Z nimi byłem najbliżej.

Jaho był sąsiadem mieszkającym kilka bloków dalej. Zmarł we własnym mieszkaniu – chociaż od kilkunastu miesięcy miał być w jednym z dwóch miejsc, które są zwyczajnym gettem. Dostał już wezwanie po klucze i adres nowego lokalu. Tam, gdy przyszłaby renta, nieformalny burmistrz – największy kryminalista – odebrałby mu w ramach „podatku" lwią część świadczenia. To tam taksówkarze nie chcą jeździć, a jak próbujesz zamówić pizzę, telefon staje się głuchy, kiedy podasz adres dostawy. Eksmisja powstrzymana – zalewałem pismami wszystkie urzędy, ministerstwa, a nawet Amnesty International. Trwała walka o każdy dzień. Chłopak był schorowany, mieszkanie z niewielkim zadłużeniem niedaleko szpitala, możliwa szybka interwencja. Planowana eksmisja do nory, którą mu przygotowało miasto na tym osiedlu. Dyrekcja robi z takimi jak Gacek to samo. Wyciskają „trupogodziny", a potem – śmietnik kosztów.

Doktor i jego armia cieni

W świecie medycznych korporacji i dyrektorskich kontraktów postać doktora Andrzeja Kaciuby brzmi jak anachronizm. To ordynator, który zamiast o wskaźnikach, mówi o godności ćpuna. Legenda o tym, jak sprzedał część domu i auto, by kiedyś ratować oddział, nie jest tu traktowana jako heroizm, ale jako naturalna konsekwencja przysięgi.

– Widziałem, jak wyciągał pieniądze z portfela, żeby chłopak po detoksie miał na bilet do domu na drugim końcu Polski. Wiedział, że ten nigdy nie odda. Ale wiedział też, że bez tego biletu chłopak wróci pod igłę jeszcze przed dworcem

– mówi mi jeden z pracowników.

Też pożyczałem – zaśmiałem się w duchu. A on dorzucił prośbę o anonimowość. – W abramowickich szpitalach strach przed dyrekcją stał się nową jednostką chorobową – wyjaśnił.

Personel detoksu to specyficzna partyzantka. Tu pielęgniarki, nie czekając na dostawy z magazynu, w drodze na dyżur kupują za własną kasę pyralginę i paracetamol, nie ma nic innego na ból pacjenta, którego system wycenił na zero złotych w rubryce „leki inne". Terapeuci, zamiast siedzieć w sterylnych gabinetach, biegają trzy razy w tygodniu do sklepu po zakupy dla podopiecznych.

Przygotowanie specjalisty na ten oddział to oprócz czterech lat szkolenia – stażu na innym oddziale czy ośrodku – jeszcze dodatkowy rok stanowiskowego przygotowania, gdzie nie wystarczy specjalistyczna wiedza. Trzeba być celnikiem wykrywającym przemyt substancji, negocjatorem powstrzymującym pacjenta przed nocnym wyjściem na żądanie i ochroniarzem, gdy agresja bierze górę nad rozumem.

Dyrektor Błażej chce ten unikalny zespół zastąpić „silnymi pielęgniarzami" o kompetencjach strażników więziennych. To nie jest reforma. To kapitulacja medycyny przed nadzorem.

Galeria ocalałych

Abramowice to miejsce, gdzie na jednej sali leży bezdomny z dworca i gwiazda snowboardu. Wietek, chłopak z pierwszej światowej trzydziestki. Idąc do jego warszawskiego mieszkania, spodziewałem się narkomańskiej meliny. Opadła mi szczęka, mieszkanie – europejski sznyt, architektoniczny gust i urządzenie wnętrz – zatyka dech. Ale na oddziale to po prostu walczący o życie człowiek. Kontuzje i narkotyki zamieniły deskę na walkę o przetrwanie. System widzi w nim „jednostkę chorobową", która generuje koszty.

Najbardziej niesamowity koncert, jaki słyszałem, nie był w filharmonii. To śpiewak operowy z Berlina. Trafił tu w stanie całkowitego rozpadu, snuł się z kroplówką na stojaku. Po kilku dniach odzyskał głos. Gdy zaczął śpiewać arię „Ten zegar stary" ze „Strasznego Dworu" na duszno-szarym korytarzu, gierkowskie mury aż zadrżały.

Był też pierwszoligowy piłkarz. I chociaż byliśmy dosyć długo w jednej sali, a potem przez kilka lat utrzymywaliśmy telefoniczny kontakt, nie mogę sobie przypomnieć jego imienia. Może to dobrze, chciałbym wierzyć, że udało mu się wrócić na boisko. Sam nigdy nie obejrzałem żadnego meczu, chociaż raz próbowałem. Żebyśmy mieli wspólną pasję z synem. Ale zasnąłem.

Dziś te historie wiszą na włosku. Nowe władze szpitala chcą przeciąć ostatnią kotwicę – numer telefonu do Abramowic, pod którym ktoś zawsze odbierał. Dla następnych Jahów i Gacków tego numeru ma już nie być.

Premia restrukturyzacyjna

Personel wpadł w panikę, chociaż o wygaszaniu oddziału, który od 43 lat ratuje ludzi z całego kraju, słychać co jakiś czas. Te wcześniejsze zagrożenia były jednak „techniczne", doktor Kaciuba i inni ogarniali. Dziś jest inaczej. Odpowiedź może kryć się w projekcie, nad którym pracuje Ministerstwo Zdrowia.

Chodzi o pomysł na restrukturyzację szpitali, który zakłada system premiowania likwidacji. Mechanizm jest cyniczny: w nagrodę za zlikwidowanie oddziału dyrekcja placówki przez dwa lata dostawać będzie część jego budżetu – 40, a w innej wersji nawet 50 proc. To „bonus restrukturyzacyjny". To sytuacja, w której system nagradza menedżerów za zwijanie państwowej służby zdrowia. To już nie jest tylko zarządzanie kryzysowe. To polowanie na nagrodę za śmierć oddziału. Każdy uratowany ćpun, każda godzina pracy terapeuty, każda ampułka leku podana na oddziale to dla Excela koszt, który stoi na drodze do premii.

W tej grze stawką nie jest budżet NFZ, ale życie ludzi, którzy nie mają dokąd pójść. Bo jeśli Abramowice padną, następnym przystankiem dla pacjentów nie będzie inny oddział. Będzie nim rynsztok, cela i cmentarz. Dyrektor Sławomir Błażej – postać, która w regionie budzi skrajne emocje – piastuje to stanowisko od października 2025 r. Dobierał się kolejno do innych oddziałów. Zadymy w lokalnych mediach powstrzymały te decyzje. Został detoks.

– Może pomyślał: kto będzie chciał bronić ćpunów? – mówi mi jeden z lekarzy ze szpitala w Radecznicy, z którego Błażej przyszedł do Abramowic.

Oficjalne zadłużenie szpitala to około 103 mln zł. To twarda, urzędowa liczba. Jednak na korytarzach Abramowic krąży inna, niemal mityczna kwota: 800 mln długu, który rzekomo miałby obciążać oddział detoksykacji. – To kreatywna księgowość w najczystszej postaci – szepcze mi jeden z pracowników administracji, prosząc naturalnie o zachowanie anonimowości. – Pompują koszty, przypisują nieracjonalne obciążenia, byle tylko w tabelkach wyszło, że leczenie narkomanów się nie opłaca…

Czy wystarczy nam rynsztoków?

Pytanie o owo mityczne 800 mln jest jedynym, na które dyrektor zechciał odpowiedzieć konkretnie: „Wskazywane działania nie mają miejsca w tut. placówce". W innych, istotniejszych kwestiach otrzymałem odpowiedzi cokolwiek wymijające.

Zapytałem otóż dyrektora: czy planuje zwalniać ludzi i kto wobec tego zapewni opiekę i bezpieczeństwo pacjentom? Odpowiedź: „Podkreślić należy, że program naprawczy ma charakter planistyczny i obejmuje planowane działania naprawcze, w tym może wskazywać elementy struktury organizacyjnej objęte tymi działaniami. Jednocześnie zatwierdzenie programu naprawczego nie stanowi samo w sobie czynności prawnej zmieniającej strukturę organizacyjną szpitala; wdrożenie ewentualnych zmian organizacyjnych wymaga każdorazowo podjęcia odrębnych decyzji i czynności w trybie właściwym"…

Troska o pacjentów bijąca z tych słów wzruszyła mnie do łez.

Urząd marszałkowski nie zadał sobie nawet tyle trudu. Mail od rzecznika prasowego: „Dyrektor jest organem władnym"…

Detoks nauczył mnie pokory. Jako pacjent zrozumiałem, że życie to nie jest linia prosta, a jako reporter widzę, że ktoś tę linię chce przeciąć.

Zwolnienia specjalistów to nie tylko likwidacja tego miejsca. To wyrok na tysiące ludzi, którzy trafią do szpitalnych oddziałów ratunkowych nieprzygotowanych na specyfikę nałogu, do cel więziennych albo po prostu na ulice.

– Jeśli nas zamkną, Lublin spłynie krwią, zakażeniami HIV i HCV. Tego nie da się wyczyścić żadnym bonusem restrukturyzacyjnym – mówi mi na odchodnym jedna z pielęgniarek. W jej oczach nie ma już złości, jest tylko przerażające zmęczenie. Abramowice płoną od środka, ogniem jest cynizm i chciwość systemu, który zamiast leczyć, woli „zarządzać procesem wygaszania".

A w głowie słyszę Kaczmarskiego: „Lecz my nie chcemy uciekać stąd – krzyczymy w szale wściekłości i pokory"…

Panie Dyrektorze, Panie Marszałku, ten oddział to ostatnia deska ratunku dla setek ludzi, nie tylko z województwa, nawet nie tylko z Polski. Koszty społeczne jego restrukturyzacji przez likwidację będą gigantyczne: przedawkowania na ulicach, samobójstwa, interwencje domowe, pobyt w więzieniach. Bo ta choroba nazywa się nałóg, a chorobę się leczy – nie wygasza.

PIOTR JASTRZĘBSKI

eprasa.pl df91f9383b

Prywatne bojówki Donalda Trumpa

ICE, ICE, babe!


Rys. HENRYK CEBULA

Po tym jak państwowy aparat pociągnął za spust, masowe deportacje, kluczowa obietnica wyborcza Donalda Trumpa, obróciła się przeciwko niemu. W trakcie kampanii prezydenckiej w 2024 r. Trump mamił potencjalnych wyborców największą operacją deportacyjną w historii USA. Po objęciu przez niego prezydentury wywózki nielegalsów stały się drugim filarem polityki imigracyjnej obok uszczelnienia granicy i zatrzymania „inwazji migrantów".

Gestapo na sterydach

Oddzielaniem plew od amerykańskich ziaren zajęło się Immigration and Customs Enforcement – w skrócie ICE. Formacja powstała w ramach ustawy o bezpieczeństwie wewnętrznym z 2002 r. będącej odpowiedzią na ataki terrorystyczne z 11 września 2001 r. Formalnie miała zajmować się egzekwowaniem prawa celnego i imigracyjnego, jednak przez wmontowanie w aparat wojny z terroryzmem od początku funkcjonowała w logice zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego. Służba o niejasnej tożsamości i szerokich uprawnieniach miała szukać wrogów narodu, których główną przewiną był nieuregulowany status pobytu.

Od czasu powrotu Trumpa do Białego Domu budżet ICE wzrósł czterokrotnie, a sama agencja stała się większa niż połączone siły FBI, Agencji do Walki z Narkotykami (DEA) i Federalnego Biura Więziennictwa (BOP). Aparat represji imigracyjnej stał się czymś w rodzaju prywatnej policji Trumpa i ochoczo wziął się do roboty.

W ciągu roku działalności pod auspicjami nowego prezydenta ICE aresztowało blisko 600 tys. osób. Jej działania zaczęły budzić kontrowersje nie tylko z uwagi na skalę deportacji, ale też ze względu na metody stosowane przez funkcjonariuszy. Masowe łapanki przestały być jedynie elementem przygranicznego krajobrazu. Obław zaczęto dokonywać w pobliżu kościołów, szkół i szpitali. Choć formalnie istnieją wytyczne ograniczające interwencje w tego typu miejscach, ICE miało i ma to w pompie. Wskutek tego część imigrantów zaczęła unikać kontaktu z instytucjami publicznymi, w tym placówkami medycznymi. Funkcjonariusze z pewnością nie byliby tak skuteczni, gdyby nie gigantyczne zasoby danych i technologia, jaką dysponują. Dzięki oprogramowaniu firmy Palantir Technologies (buduje zaawansowane systemy, które łączą rozproszone dane z różnych źródeł w jedną spójną całość), agenci ICE korzystają z platformy Investigative Case Management (ICM), umożliwiającej przeszukiwanie prywatnych i federalnych baz osobowych. Program Falcon pozwala im na skanowanie dokumentów tożsamości, rejestrowanie rozmów i śledzenie ludzi w czasie rzeczywistym za sprawą logowania się telefonów do wież komórkowych. Dzięki oprogramowaniu ICE może grzebać w Enforcement Integrated Database przechowującej dane biometryczne obywateli, którymi interesował się Departament Bezpieczeństwa Narodowego. Możliwości inwigilacji – podobnie jak bezwzględność mundurowych bojówek Trumpa – są w zasadzie nieograniczone.

Nagwizdać naziolom

W maju 2025 r. w mieście Chelsea w stanie Massachusetts ICE otoczyło rodzinę jadącą samochodem do kościoła na uroczystości z okazji Dnia Matki. Zamaskowani agenci rozbili szybę pojazdu i wyciągnęli siedzącego w środku mężczyznę. Szkło posypało się na trójkę dzieci. W kalifornijskim San Bernardino służby oddały trzy strzały w stronę auta, którym podróżowała rodzina. Przykłady można mnożyć.

Metodyka ICE prędko zaczęła się kojarzyć z dawnymi praktykami służb austriackiego akwarelisty, co wywołało społeczne niezadowolenie i wznieciło opór. Antyimigracyjne łapanki były jednym z głównych motywów masowych protestów w USA w 2025 r. Społecznicy i aktywiści praw imigrantów zaczęli organizować lokalne sieci obrony społeczności przed ICE. Gdy ktoś zauważy mobilne patrole z zamaskowanymi agentami czy blokady ulic, wysyła na specjalną aplikację alert z dokładną lokalizacją i zdjęciami służb. Wolontariusze jadą wówczas na miejsce i ostrzegają pozostałych mieszkańców: trąbią, nawołują i dmuchają w gwizdki. Rozdają ulotki „Know you rights" (poznaj swoje prawa) i nagrywają działania służb. Obserwatorzy stoją w bezpiecznej odległości i nie wchodzą w reakcje fizyczne z agentami. Zwykle obecność tłumu pacyfikowała chętkę mundurowych na brutalną ekspresję. Do czasu.

7 stycznia w Minneapolis w stanie Minnesota agent Służb Imigracyjnych i Celnych Jonathan Ross wpakował trzy kule w twarz siedzącej za kierownicą samochodu 37-letniej Amerykanki Renee Good. 24 stycznia na jednej z ulic tego samego miasta bojówkarze ICE oddali 10 strzałów do leżącego na ziemi obezwładnionego i bezbronnego 37-letniego Alexa Prettiego. Trzy z nich okazały się śmiertelne. Pretti i Good byli obywatelami amerykańskimi. Obydwoje należeli do sieci pokojowych obserwatorów służb ICE. Administracja Trumpa w trybie pilnym nazwała ich terrorystami. Narracja nie zassała zbyt dobrze i doszło do masowych protestów.

Zamordowanie Good i Prettiego przelało czarę goryczy. Liczba dorosłych Amerykanów aprobujących prezydenturę Trumpa spadła do nowego minimum 39,2 proc. Załamało się poparcie dla jego polityki migracyjnej i deportacyjnej. Amerykański analityk danych i autor newslettera „Strength In Numbers" („Siła w liczbach") George Morris zauważył, że Amerykanie, słysząc teraz słowo „imigracja", nie myślą o migrantach pod wiaduktem w południowym Teksasie, lecz o „oficerze ICE zabijającym kobietę w jej samochodzie i nazywającym ją »pieprzoną suką«" lub „zwykłym facecie postrzelonym 10 razy w plecy po powaleniu na ziemię i rozbrojeniu". Według Morrisa już 46 proc. obywateli USA opowiada się za likwidacją ICE. To zaś może poważnie zaszkodzić poparciu dla trumpowskiego MAGA w wyborach połówkowych w 2026 r. i prezydenckich w roku 2028. Trump ma pomysł, jak rozwiązać ten problem i już wdraża go w życie.

Urna gate

Kilka godzin po morderstwie Prettiego prokurator generalna Pam Bondi zażądała od gubernatora Minnesoty Tima Walza dostępu dla Departamentu Sprawiedliwości do stanowych rejestrów wyborców, rzekomo w celu zbadania, czy te są zgodne z prawem federalnym. Trump i jego świta są zdeterminowani, by przekonać Amerykanów, że przerżnął poprzednie wybory w wyniku oszustwa, i powtórzyć ten piruet w razie porażki wyborów połówkowych. Zdaniem prezydenta USA przejęcie władzy przez demokratów niemal na pewno doprowadzi do kolejnej próby usunięcia go z urzędu. Minnesota ma najwyższą frekwencję wyborczą spośród wszystkich stanów i często jest podawana jako wzór bezpieczeństwa wyborczego. Kilka dni później 28 stycznia Federalne Biuro Śledcze wykonało nakaz przeszukania w magazynie wyborczym w hrabstwie Fulton w Georgii, by skonfiskować karty do głosowania, nośniki danych z tabulatorów i inne dane z wyborów prezydenckich z 2020 r. Nie bez przyczyny. W 2021 r. Trump namawiał sekretarza stanu Georgia republikanina Brada Raffenspergera, by znaleźć 11 780 głosów – o jeden więcej, niż potrzebował, by ukraść elektorskie głosy stanu Joemu Bidenowi wybranemu przez mieszkańców Georgii. Gdy Raffensperger odmówił, Trump zasugerował mu popełnienie przestępstwa.

Fantasmagorie o przekręconych wyborach prezydent USA rozprowadzał także w Davos. 21 stycznia oświadczył, że „wszyscy teraz wiedzą", iż wybory w 2020 r. były sfałszowane, i „ludzie wkrótce zostaną oskarżeni o to, co zrobili".

Jon Ossof, senator Partii Demokratycznej z Georgii, powiedział, że nalot FBI na biuro wyborcze hrabstwa Fulton to sygnał ostrzegawczy przed wyborami połówkowymi i Amerykanie muszą być przygotowani, że Trump będzie próbował odebrać im prawo do wyboru urzędników w 2026 r.

Tymczasem Departament Bezpieczeństwa Krajowego USA rozpoczął kampanię z hasłem „Chcesz tańszych mieszkań? Pomóż zgłosić nielegalnych imigrantów w swojej okolicy" i udostępnił numer do ICE.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

Gazaland Grave Resort & SPA

Wizja Palestyny made in USA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

22 stycznia w Davos Donald Trump zainaugurował Radę Pokoju, która ma nadzorować drugą fazę planu pokojowego dla Strefy Gazy. Tego samego dnia zięć prezydenta USA Jared Kushner przedstawił wizualizacje odbudowy zrównanego z ziemią przez Izrael terytorium. Palestyńczycy nie mają powodów do radości. Podczas gdy większość w Strefie Gazy zamarza w namiotach otoczonych ruinami, Kushner więcej uwagi poświęcił wizjom biznesowym Trumpa niż jakiejkolwiek pomocy humanitarnej.

Gentryfikacja po ludobójstwie

Założenia urbanistyczne „New Gaza" są w zasadzie projekcją ubiegłorocznej zapowiedzi „Riwiery Bliskiego Wschodu" prezydenta USA. Z konferencyjnej prezentacji wynika, że przeszło 80 proc. terenu wybrzeża ma zostać sprywatyzowane i zamienione w łakomy kąsek dla zagranicznych inwestorów. W ciągu dwóch, trzech lat powstanie tu 180 wieżowców, lotnisko, port i strefy przemysłowe. Całość dopełnią luksusowe inwestycje nadmorskie. Pełne przekształcenie Gazy w nowoczesne centrum gospodarcze i turystyczne wedle wizji Kushnera powinno się ziścić do 2035 r., a PKB Gazy powinno wówczas osiągnąć 10 mld dol. Szacowany koszt odbudowy i modernizacji palestyńskiego cmentarzyska w luźnych szacunkach opiewa na 25–112 mld dol.

Wygenerowane przez AI fantasmagorie pokazują New Gaza jako pusty teren pod zabudowę. W planach nie uwzględniono własności prywatnej Palestyńczyków, dotychczasowej tkanki miejskiej, meczetów, szkół czy cmentarzy.

Wizjonerzy z USA pominęli tak drobne szczegóły jak skala zniszczeń, brak podstawowej infrastruktury, skażenie środowiska, niewypały czy miny lądowe. Korporacyjno-marketingowy bubel nie przyniósł też odpowiedzi na pytania, kto będzie zarządzał terytorium ani co się stanie z obywatelami Palestyny.

Palestyńsko-amerykańska pisarka i obrończyni praw człowieka Susan Abulhawa plany USA określiła „wymazywaniem Palestyńczyków z mapy nawet w planach pokojowych". Trudno nie przyznać jej racji.

Kwadratura jarmułki

W trakcie prezentacji dystopijnego eldorado deweloperów negocjator i partner biznesowy Donalda Trumpa Steve Witkoff podziękował premierowi Netanjahu za jego przywództwo i za to, że Izrael stoi z USA ramię w ramię w tej historycznej chwili (sic!). Stany Zjednoczone chciały widocznej obecności Izraela, żeby podkreślić multilateralny charakter inicjatywy, ale gówno z tego wyszło. Choć Izrael dołączył do Rady Pokoju, żaden jego przedstawiciel nie pojawił się na jej inauguracji. Bibi nie mógł przyjechać na forum z powodu nakazu aresztowania wydanego przez Międzynarodowy Trybunał Karny. Co ciekawe, prezydent Izraela Izaac Herzog przebywał w tym czasie w Davos, ale Netanjahu zablokował jego udział w uroczystości.

Izraelski premier i jego kompani mieli zastrzeżenia do składu politycznego cielca wykreowanego przez Trumpa. Netanjahu chciał uniknąć wrażenia, że Izrael zbyt entuzjastycznie popiera nową strukturę, która może ograniczać jego imperialistyczne zapędy. Spuszczając ze smyczy liberalnego względem zamordystycznej izraelskiej prawicy Herzoga, premier ryzykowałby, że zostanie to odczytane jako pełne poparcie rządu izraelskiego, czego zdecydowanie nie chciał. Intencje i działania Izraela wobec Palestyny pozostają bowiem niezmienne.

Bez planu

Netanjahu ma w pompie plan pokojowy. W przeddzień jubla w Davos Izrael zgruzował siedzibę agencji ONZ ds. uchodźców palestyńskich (UNRWA) we wschodniej Jerozolimie. Według rzecznika organizacji Jonathana Fowlera rano na teren obiektu wkroczyły izraelskie siły, które wyrzuciły z niego ochroniarzy. W ślad za nimi wjechały buldożery. Miejsce demolki odwiedził sam minister bezpieczeństwa narodowego Izraela Itamar Ben Gwir, który nazwał pracowników organizacji zwolennikami terroryzmu, a część z nich bezpodstawnie oskarżył o udział w masakrze z 7 października 2023 r.

Sekretarz Generalny ONZ António Gutteres działania Izraela nazwał bezprecedensowym atakiem. Dodał, że kompleks pozostaje „terenem ONZ i jest nienaruszalny oraz odporny na wszelkie inne formy ingerencji". Kilka miesięcy po rozpoczęciu wojny w Strefie Gazy władze Izraela uznały Guterresa za persona non grata, więc jego opinia na niewiele się zdała. MSZ Izraela w wydanym oświadczeniu podkreśliło, że UNRWA-Hamas zakończył działalność w tym miejscu, a właścicielem kompleksu w Jerozolimie jest państwo Izrael.

Również 21 stycznia w izraelskich atakach na Strefę Gazy zginęło kilkanaście osób, w tym trzech palestyńskich dziennikarzy podróżujących pojazdem Egipskiego Komitetu Pomocy. Ekipa filmowała nowy obóz przesiedleńczy zarządzany przez egipski komitet rządowy w rejonie Netzarim. Obszar leży w zielonej strefie, w odległości około 5 km od kontrolowanej przez Izrael zony. Dziennikarze wykonywali swoją pracę i nie stanowili zagrożenia. Ich pojazd zaatakowano dronem.

Czy szklane domy made in USA w Strefie Gazy zmienią retorykę Netanjahu? Bardzo wątpliwe. Trump i Kushner w swojej wybujałej fantazji liczą (a przynajmniej starają się sprawiać takie wrażenie) na geopolityczny gambit. Chcą spiłować pazury izraelskich ekstremistów i znormalizować arabsko-izraelskie relacje. Europejska Rada Spraw Zagranicznych (EFCR) w raporcie „Welcome to the jungle" z 23 stycznia 2026 r. wskazała, że Europa powinna jakoś zaimplementować się w inicjatywę Trumpa, szczególnie po to, żeby ją ujarzmić. Głównie przez wywarcie presji na Izraelu w kwestii ograniczenia żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu, wyegzekwowanie gwarancji dla Palestyńczyków i integrację planu z rezolucjami ONZ. Kłopot polega na tym, że to jak próba nauczenia wołu jedzenia sztućcami.

Jeśli Izrael nie pohamuje swoich zapędów na Zachodnim Brzegu, kraje arabskie mogą olać jakąkolwiek normalizację stosunków. Jeżeli nie popłyną fundusze, Gaza pozostanie ruiną, co podsyci radykalizm. Dalsza zaś aktywność Hamasu będzie pretekstem do kolejnych operacji militarnych dla Izraela (choć i bez tego nie potrzebuje zachęty).

Dla Strefy Gazy tworzą się zatem dwa scenariusze: amerykańska kolonizacja z Palestyńczykami w roli taniej siły roboczej pod kontrolą Izraela albo dalsze ludobójstwo. Mało optymistyczna wizja.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl df91f9383b

Obwoźny cyrk żałobny

Celebracja śmierci Charliego Kirka


Ilustr. PAWEŁ FERENC

Dla przeciętnego Europejczyka rzeczywistość społeczno-polityczna Stanów Zjednoczonych jest jak fantasmagoryczne reality show, z którego producenci pragną wycisnąć samo gęste, maksymalnie podkręcając poziom kontrowersji i absurdu. Najnowszy sezon amerykańskiego reality show, który z rozbawieniem i/lub trwogą przyszło nam ostatnio obserwować zza oceanu, nakręcony jest wokół śmierci Charliego Kirka. A dokładnie – osobliwego sposobu opłakiwania jego śmierci, który charakteryzuje wdowę Erikę.

Miss w objęciach wiceprezydenta

Przypomnijmy: Charlie Kirk – prawicowy aktywista i współzałożyciel ultraprawicowej i ultrakonserwatywnej organizacji Turning Point USA (TPUSA) – 10 września ubiegłego roku został śmiertelnie postrzelony podczas występu na kampusie Utah Valley University. Mimo że w amerykańskiej polityce dramatycznych i głośnych wydarzeń jest bez liku, więc ich złoty czas antenowy jest relatywnie krótki, śmierć Kirka dalej jest tematem przede wszystkim dzięki aktywności żony zmarłego.

Erika Kirk za zbijanie kapitału medialnego wzięła się praktycznie od razu. Kariery medialnej podobnej do tej, jaką zrobił jej mąż, do chwili jego śmierci nie miała, ale jako młoda dziewczyna z powodzeniem startowała w konkursach piękności; w 2012 r. została Miss Arizony. Jednakże wyruszając na żałobne tournée, nie do końca chyba zdawała sobie sprawę, że jako dyrektor generalna Turning Point będzie oceniana za swoje słowa – co nie jest tak proste jak bycie ocenianą za wygląd i uśmiech.

Zachowanie Eriki Kirk oraz jej wypowiedzi od samego początku odsłaniały jej absolutny brak przygotowania do wystąpień publicznych. Zaczęło się zaledwie dwa dni po śmierci Kirka, kiedy Erika, usiłując połączyć wyniesiony z konkursów miss przyklejony uśmiech z wymuszonymi łzami, wygłosiła jedną z najbardziej kuriozalnych mów funeralnych w historii. Ocierając chusteczką nieistniejące łzy z policzka i siąkając nosem, wspominała, jak bardzo jej mąż kochał prezydenta Donalda Trumpa i że „jej wdowi płacz wybrzmi jak okrzyk wojenny", aby dalej promować konserwatywne wartości, o które walczył jej mąż.

Ten sam wdowi płacz zaledwie parę tygodni później poinformował gawiedź, że nikt nie jest w stanie zastąpić jej męża… ale J.D. Vance jest blisko niepowtarzalnego ideału. Co zostało podkreślone czułym scenicznym uściskiem między wdową a wiceprezydentem, który – przypomnijmy – od 12 lat jest mężem Ushy Vance. Druga dama, córka indyjskich imigrantów, nie jest szczególnie popularna w gronie republikanów, co tylko roznieciło teorie, że to Erika miałaby wkrótce zastąpić niewygodną dla antyimigracyjnej retoryki Ushę. Być może ich zgaszeniu służyć miała niedawna enuncjacja, że Vance'owie oczekują czwartego dziecka.

Gwiazdy foliarstwa

Śmierć Kirka stała się również nie lada pożywką dla tzw. foliarzy, czyli wielbicieli teorii spiskowych (zwanych tak od zwyczaju wykładania czapek folią aluminiową dla ochronienia się przed promieniowaniem kosmicznym). Na pierwszy plan wysunęła się jedna z ulubionych szurów (szurzyc?) Amerykanów, czyli Candance Owens – niesamowicie popularna w Stanach republikańska podcasterka i youtuberka. Ta sama Owens, która niedawno beknęła za swoją doprawdy oryginalną teorię, iż pierwsza dama Francji jest tak naprawdę ojcem prezydenta Macrona, który poddał się tranzycji, teraz postanowiła pojechać na śmierci Kirka, głosząc, że w jego zabójstwo zaangażowane były Egipt, Izrael oraz Francja (swoją drogą niesamowity zestaw). Fantazje Owens poniosły się tak dużym echem, że Izrael musiał oficjalnie zaprzeczyć jakoby miałby mieć cokolwiek ze śmiercią Kirka wspólnego (Owens znana jest ze swojego skrajnego antysemityzmu, który ostatnio doprowadził do scysji między nią a niegdyś przychylnym jej celebrytą MAGA Benem Shapiro). Głupoty, które plotła Owens, w końcu przerosły nawet tolerancję Eriki Kirk, która poprosiła gwiazdę foliarzy, żeby znalazła sobie inny temat do snucia bajek.

Wóz cyrkowy toczył się jednak nieprzerwanie dalej, aby w pełnej okazałości zabłysnąć na zorganizowanym przez Erikę festiwalu America Fest. Ta czterodniowa impreza – która ma być od teraz coroczna – odbyła się w połowie grudnia w Phoenix i zgromadziła śmietankę amerykańskich medialnych konserw. Wśród gości znaleźli się Tucker Carlson, Ben Shapiro oraz hołubiony przez Kirk J.D. Vance. Otwarcia imprezy dokonała żałobna wdowa, która wkroczyła na scenę rozpromieniona, w akompaniamencie muzyki, fajerwerków, ubrana w cekinowy garnitur, jak by właśnie wygrała kolejną edycję „X Factora", a nie otwierała konferencję upamiętniającą jej zamordowanego męża, który osierocił dwójkę małych dzieci. Ta jarmarczna estetyka – w duchu amerykańskich megakościołów – była głównym punktem decorum całego wydarzenia.

Raperzy i zabójcy

Na tym jednak zabawa się nie skończyła. Do legendy przeszło już wystąpienie urodzonej w Trynidadzie amerykańskiej raperki Nicki Minaj, która po latach budowania wizerunku wyuzdanej skandalistki zaliczyła ostatnio konserwatywny zwrot, bo już tylko tym była w stanie zaskoczyć publiczność (swoją drogą zwrot ten kosztował Minaj aż 10 mln obserwujących na Instagramie – co w dzisiejszych czasach równa się naprawdę sporej stracie wizerunkowej). Podczas rozmowy z Eriką, prócz wygłoszenia standardowych transfobicznych bredni, Nicki skomplementowała wiceprezydenta J.D. Vance'a słowem *assasin*, czyli zabójca. Słowo to używane jest głównie w kontekście zabójstw na tle politycznym, co wziąwszy pod uwagę okoliczności śmierci Kirka, było szczególnie kuriozalne. Zdjęcie dwóch średnio rozgarniętych dam, obu dość mocno zdziwionych słowami, które właśnie padły z ust jednej z nich, powinno znaleźć się w amerykańskich podręcznikach historii okresu trumpizmu.

Ostro wkraczając w sferę rozrywki, Turning Point ma także w planach występ na tegorocznym Super Bowl. To najważniejsze sportowe wydarzenie roku: finał mistrzostw futbolu amerykańskiego tradycyjnie uatrakcyjniony w przerwie meczu występami największych gwiazd muzyki (halftime show). W tym roku zaproszony został Bad Bunny – artysta nie dość, że portorykański i hiszpańskojęzyczny, ale także wyraziście antytrumpowy; jesienią, w ramach protestu przeciwko działaniom ICE, raper odwołał swoje koncerty w USA. W odwecie Donald Trump zapowiedział bojkot Super Bowl. Mówi się zatem, że halftime należący do TPUSA miałby stanowić przeciwwagę dla obcego wichrzyciela. Ani Erika, ani nikt z jej organizacji nie zdradził jeszcze, na czym ów żałobny halftime show miałby polegać.

Kirkfikacja

Chciałabym podkreślić: oczywiście, że ludzkie reakcje na traumatyczne doświadczenia są różne, podobnie jak przeżywanie żałoby. Jedni rzucają się w wir pracy, inni skupiają się na najbardziej wyrazistym upamiętnianiu zmarłego, jeszcze inni zamykają się w domu na długie miesiące. Obrońcy Eriki podkreślają też, że jej rodzina należy do ewangelikańskiego odłamu protestantyzmu, gdzie obchodzenie żałoby idzie bardziej w stronę celebracji niż opłakiwania. Umówmy się jednak: niezależnie od różnic w religijnej retoryce i – nazwijmy to – estetyce, nie wydaje mi się jednak, żeby powszechnym zwyczajem żałobnym wśród przeciętnych amerykańskich ewangelików był melanż z fajerwerkami. Nietrudno się więc dziwić, że

kultura internetowych memów uczyniła z Charliem Kirkiem mniej więcej to, co w Polsce stało z papieżem Janem Pawłem II. Wizerunek Kirka nagle zaczął pojawiać się wszędzie.

Jego twarz wklejana jest w okładki albumów, używana do AI-owych przeróbek, opatrywana zmyślonymi i absurdalnymi cytatami. Do tego doszły jeszcze memy i rolki wyśmiewające osobliwy rytuał żałobny Eriki. Teatralne i ciut schizofreniczne zachowanie wdowy dolało oliwy do ognia. Faktem jest, iż kirkifikację – jak nazwano ów fenomen – w dużej mierze wywołała i napędziła sama Erika. Trudno stwierdzić, czy owa groteskowość kirkifikacji była celowa, aby była bardziej klikalna (bo przecież nieważne jak; ważne, że mówią), czy wdowa po Charliem aż do tego stopnia pozbawiona jest samoświadomości. Ale nie chce mi się wierzyć, że za tym wszystkim nie stoi jakiś prawicowy PR-owiec, który wie, jak wywołać podziw trumpistów i – negatywny, ale jednak – rozgłos w gronie Amerykanów liberalno-lewicowych.

ANTONINA STEFFEN

Powiem Wam, jak będzie

Negocjacje nad mapą

Pytamy: dokąd zmierza świat? W epoce, w której granice między mocarstwami zacierają się w cieniu rakiet i algorytmów, świat zapada się w geopolitycznej mgle. Wczorajsze sojusze dziś okazują się pułapkami, a święte reguły gry – te oparte na handlu, prawie międzynarodowym i wzajemnym odstraszaniu – rozpadają się jak domek z kart pod naporem nacjonalizmów, wojen hybrydowych i korporacyjnych imperiów. To już nie kaprys losu. To stan przewlekły. Nowy chaos, w którym supermocarstwa testują granice bez wstydu i bez precedensu, sojusze pękają pod ciężarem interesów, a zwykli obywatele – od Los Angeles przez Warszawę po Pekin – budzą się w rzeczywistości, gdzie jutro jest ruletką, a nie porządkiem. Pytanie brzmi: czy z tego chaosu wyłania się coś więcej niż tylko kolejna katastrofa?

Jako Czytelnicy „NIE" wiecie jednak doskonale, że prawda rzadko mieszka w opasłych raportach. Częściej przysiada w zdaniach, które brzmią podejrzanie lekko, jakby ktoś sobie żartował. Nasz tygodnik od zawsze miał talent do mówienia rzeczy śmiertelnie poważnych z półuśmiechem, więc spróbujmy starej sztuczki jeszcze raz. Powiem wam, jak będzie... A przynajmniej pokażę wam kalendarz i zapytam, co mówią fakty, kiedy nikt ich nie pogania interpretacją.

Spójrzcie uważnie na chronologiczne zestawienie wydarzeń w relacjach USA–ChRL w bieżącej kadencji Donalda Trumpa. Czy możliwe, że obiektywny i chłodny kalendarz powie nam więcej niż setka analiz? Czy daty potrafią mówić prawdę, zanim ktoś zdąży ją przykryć narracją?

Styczeń 2025: zaprzysiężenie Donalda Trumpa. Zapowiedź rewizji polityki handlowej wobec Chin i nacisk na „uprzemysłowienie Ameryki".

Kwiecień 2025: wprowadzenie ceł „wzajemnych" (Reciprocal Tariffs). Powszechne taryfy na poziomie około 10 proc. i więcej na chińskie towary, oficjalnie w celu redukcji deficytu handlowego.

Październik 2025: metale ziem rzadkich. Chiny wprowadzają restrykcje eksportowe na gal, german i antymon. Trump odpowiada groźbą stuprocentowych ceł na wybrane sektory.

Październik 2025: Trump ogłasza porozumienie w sprawie nowej struktury właścicielskiej TikToka, które pozwala aplikacji uniknąć zakazu działalności w USA.



Rys. JANUARY

30 października 2025: podpisanie rozejmu USA–ChRL na szczycie APEC w koreańskim Busan. Trump i Xi Jinping ogłaszają roczną ugodę. USA zawieszają część nowych ceł, Chiny zobowiązują się do zakupu 25 mln ton soi rocznie i zniesienia odwetowych ceł rolnych. APEC gromadzi przywódców wszystkich 21 gospodarek regionu Azji i Pacyfiku od Korei Południowej i Japonii po państwa ASEAN (Stowarzyszenie Narodów Azji Południowo-Wschodniej).

Listopad 2025: porozumienie w sprawie fentanylu. USA obniżają cła o 10 punktów procentowych w zamian za chińskie wsparcie w blokowaniu eksportu prekursorów fentanylu do karteli.

Grudzień 2025: podpisanie ustawy zwiększającej częstotliwość oficjalnych kontaktów z Tajwanem.

Styczeń 2026: nowa Strategia Obrony Narodowej (NDS). Dokument przestaje określać Chiny jako „głównego konkurenta", przesuwając akcent na ochronę terytorialną USA i podejście transakcyjne. Półkula zachodnia zostaje jasno nazwana amerykańską strefą wpływów.

Styczeń 2026: umowa inwestycyjna z Tajwanem. Tajwańscy producenci chipów, w tym TSMC, deklarują inwestycje rzędu 250 mld dol. w fabryki w USA w zamian za wsparcie rządu.

Kwiecień 2026 (planowane): oficjalna wizyta Donalda Trumpa w Pekinie w celu omówienia przedłużenia rozejmu z Busan.

Jesień 2026 (planowane): rewizyta Xi Jinpinga w Stanach Zjednoczonych.

Które z tych wydarzeń są kluczowe? Być może trzy. Po pierwsze rozmowa Trumpa z Xi Jinpingiem w Busan. Po drugie fakt, że tajwańska TSMC – jedyny na świecie producent półprzewodników niezbędnych dla sztucznej inteligencji i najbardziej wysublimowanej elektroniki – decyduje się przenieść strategiczną część produkcji do USA. I po trzecie, być może najważniejsze, styczniowe ogłoszenie nowej Strategii Obrony Narodowej.

Warto dodać jeszcze jeden szczegół, który umyka tabelkom. Emocje Trumpa po spotkaniu w Busan. Na pokładzie Air Force One prezydent USA zadziwił dziennikarzy niemal dziecięcym entuzjazmem. Mówił o „chemii" z Xi Jinpingiem, ocenił szczyt APEC na „12 w skali do 10", zapewniał, że rozwiązano problemy ignorowane przez dekady. Powtarzał, że jego relacja z Xi jest „lepsza niż kiedykolwiek", że obaj darzą się ogromnym szacunkiem i że w zaledwie 100 minut rozmowy udało się zrobić to, czego inni „nie potrafili tknąć przez dekady". Czy naprawdę 25 mln ton soi rocznie potrafi wywołać aż taką euforię?

Każde chronologiczne zestawienie wydarzeń jest tylko zapisem procesu. Także to. Pytanie brzmi:

dokąd ten proces prowadzi? I czy macie, podobnie jak ja, wrażenie, że patrzymy na coś znacznie większego niż kolejną rundę zwykłych handlowych targów?

Myślę, że w Busan panowie dogadali się w sprawie znacznie poważniejszej. Nie o cła. Nie o soję. Negocjowano mapę. A my, jak zwykle, dowiemy się o tym po fakcie. Oni już podzielili świat.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl df91f9383b



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Międzynarodówka elastycznych zamordystów

Co łączy Trumpa, Orbána i Erdoğana

Ci trzej przywódcy mają ze sobą wiele wspólnego – zarówno w odniesieniu do polityki wewnętrznej, jak i zagranicznej. W swoich krajach nie patyczkują się z własnym społeczeństwem. Natomiast w stosunkach ze światem starają się być elastyczni, preferując interesy własnego państwa, a nie szeroko rozumianej wspólnoty atlantyckiej – a w przypadku Węgier także europejskiej.

W kraju wilki

W swoich krajach trzej liderzy forsują twardą politykę opartą na prawicowych pryncypiach, choć ograniczenia strukturalne powodują, że w każdym z tych państw przebiega to inaczej.

W USA nosi ona charakter uniwersalny, gdyż jest skierowana przeciwko biedniejszej części społeczeństwa – o czym świadczą ciecia socjalne czy ograniczenie dostępu do taniej bądź bezpłatnej opieki zdrowotnej. Natomiast – w odróżnieniu od Turcji i Węgier – restrykcje nie odnoszą się do politycznych oponentów. Wynika to ze specyfiki amerykańskiego systemu politycznego, opartego na równowadze dwóch wymieniających się od czasu do czasu władzą sił politycznych – republikanów i demokratów. Dość powierzchowne różnice między nimi powodują, że wzajemna rywalizacja ma bardziej wymiar personalny niż programowy.

Ograniczniki te nie dotyczą jednak Węgier ani Turcji, przy czym ten ostatni kraj znajduje się w bardziej „luksusowej" sytuacji. Będąc poza Unią Europejską, nie musi główkować nad tym, jak wymigać się z wymogów stawianych przez UE ani chandryczyć się o odbierane jej unijne pieniądze. Może sobie bezkarnie oponentów wsadzać do więzień. Zwłaszcza gdy są na tyle silni, że mogą być zagrożeniem dla Erdoğana. Przekonał się o tym czołowy opozycjonista Ekrem İmamoğlu, który dwukrotnie wygrał wybory na mera Stambułu, wobec czego Erdoğan umieścił go w więzieniu.

Nominalnie obowiązujące standardy demokracji nie pozwalają – zarówno w Turcji, jak i na Węgrzech – na delegalizację opozycyjnych partii politycznych. Dla władz w Ankarze opozycja nie stanowi jednak istotnego problemu. Prezydencka partia ma co prawda słabszą pozycję w miastach, zwłaszcza w Stambule, jednak jak do tej pory bez problemów wygrywała wybory parlamentarne. Ma bowiem poparcie tzw. prowincji oraz tureckiej diaspory. Wśród emigracji Erdoğan wciąż cieszy się znaczną estymą, uważany jest za symbol silnej Turcji, a dla islamistów pozostaje ucieleśnieniem religijnych wartości. Przykład Mołdawii pokazuje, jakie znaczenie mają głosy diaspory przechylające wyniki głosowania na korzyść aktualnie rządzących.

W związku z tym pojawia się zresztą pytanie: czy emigranci powinni głosować, skoro skutki wyborów nie będą ich bezpośrednio dotyczyć?

Węgry są w trudniejszej sytuacji jako kraj członkowski UE. Podporządkowanie mediów i sądownictwa rządowi naraża je na kary finansowe ze strony Brukseli i Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości. W Budapeszcie doświadczono tego już kilkakrotnie. Równolegle przeciwko faktycznemu medialnemu monopolowi protestuje opozycja. Uważany za najgroźniejszego rywala obecnego premiera lider partii Tisza Péter Magyar domaga się usunięcia szefa państwowej telewizji, którą nazywa „fabryką propagandy", a inny opozycjonista, niezależny deputowany Ákos Hadházy – „najsilniejszym bastionem władzy". Orbán może obawiać się utraty władzy w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych.

W związku z tym w Budapeszcie przebąkuje się, że może on wybrać „wariant Brazauskasa". Algirdas Brazauskas, po tym jak przestał być prezydentem Litwy, został premierem rządu. Przećwiczono to też w Rosji, kiedy Putin przekazał prezydenturę w ręce premiera Miedwiediewa, po czym po upływie kadencji powrócił na stanowisko głowy państwa. Agencja Bloomberg zwraca uwagę, że 10 grudnia parlament przyjął projekt ustawy utrudniający usunięcie prezydenta z zajmowanej funkcji. O ile do tej pory wystarczyła zwykła większość głosów poselskich, o tyle w nowej wersji wymagana będzie zgoda Trybunału Konstytucyjnego, na czele którego stoi zaprzyjaźniony z Orbánem były szef prokuratury Péter Polt. Można to odczytać jako asekurację na wypadek porażki wyborczej Fideszu. Choć uprawnienia prezydenta są raczej symboliczne, to przejęcie tej funkcji przez Orbána pozwoli mu wyjść z twarzą i przygotować się do ewentualnego zwycięstwa w następnych wyborach do parlamentu.

Za granicą lisy

O ile na odcinku krajowym ci trzej politycy w zasadzie mogą działać bez większego skrępowania, o tyle

w kontaktach zewnętrznych wykazują się pragmatyczną elastycznością, kierując się przede wszystkim interesem własnych państw. Szczególnie wyraźnie jest to widoczne w kontekście wojny na Ukrainie i – co za tym idzie – stosunków z Rosją.

Trump dąży do pokojowego rozwiązania konfliktu, bo mając w tym konkretny ekonomiczny interes. Dopóki trwa wojna, Stany Zjednoczone nie mogą penetrować ani ukraińskich, ani rosyjskich zasobów naturalnych. A chyba to właśnie amerykański prezydent ma na uwadze. Gra na kilku frontach, a to wprowadzając wobec Rosji sankcje, a to je łagodząc. Bardziej stanowczy jest wobec Ukrainy, naciskając na zawarcie porozumienia na jego warunkach. Rozmowy zainicjowane przez Trumpa są trudne i długotrwałe – ale są. Takie podejście kontrastuje ze stanowiskiem Unii Europejskiej, która chętnie rozmawia z Ukrainą, ale z Rosją już nie.

Ponadto Trump stara się łagodzić stosunki z wyklętą przez Europę Białorusią. W Mińsku gościli przedstawiciele amerykańskiej administracji, w efekcie czego Stany zniosły sankcje wobec białoruskich linii lotniczych, a przede wszystkim eksportu potasu, będącego podstawowym komponentem produkcji nawozów sztucznych. W zamian, przy okazji każdej takiej wizyty, władze w Mińsku uwalniały kolejnych więźniów politycznych oskarżanych o działalność ekstremistyczną, terrorystyczną czy wręcz szpiegowską. Był to kolejny transakcyjny deal w stylu konsekwentnie praktykowanym przez Trumpa.

Przywódców USA i Węgier łączy też krytyczny stosunek do Unii Europejskiej. Wynika to jednak z odmiennych przesłanek. Trump widzi w Unii przede wszystkim konkurenta ekonomicznego – może nie tak silnego jak Chiny, ale zawsze. Natomiast dla Orbána UE to zagrożenie dla radykalnych metod rządzenia, prekursor rozwiązłości obyczajowej i przeszkoda na drodze do współpracy z Rosją i przeciwstawiania się Ukrainie.

Stanowisko Węgier jest tu jednoznaczne. Choć Węgry odniosły się krytycznie do rosyjskiej inwazji na Ukrainę, to jednocześnie sprzeciwiają się nakładaniu sankcji na Rosję, uważając, że przynoszą one szkodę węgierskiej gospodarce. Istotnie, właśnie z Rosji sprowadzane są podstawowe nośniki energii. Według danych z 2024 r. 86 proc. dostaw ropy i 74 proc. gazu trafiało z Rosji. Przy okazji węgierscy oficjele wbijają szpilę Unii. Minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó twierdzi, że Węgry w sposób otwarty handlują z Rosją, natomiast wiele krajów europejskich robi to samo, ale skrycie.

Węgry wprowadziły też ułatwienia dla wjazdu na ich teren obywateli Rosji i Białorusi – łącznie z pracownikami rosyjskiej firmy Rosatom pomagającymi w budowie elektrowni atomowej. Spotkało się to z ostrą unijną krytyką. Zdaniem przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej Manfreda Webera umożliwi to prowadzenie działalności szpiegowskiej, a litewska europosłanka Rasa Juknevičienė stwierdziła, że Węgry niszczą Unię Europejską od środka.

Spory pomiędzy Budapesztem i Brukselą dotyczą nie tylko Rosji, ale też – co jest tego konsekwencją – Ukrainy. Węgry konsekwentnie występują przeciwko włączeniu Ukrainy do UE i NATO. Wypowiadają się przeciw wprowadzeniu przyśpieszonej procedury przyjęcia Ukrainy do Unii. Ich zdaniem przyśpieszone członkostwo byłoby tragedią nie tylko dla Węgier, ale i całej UE, ponieważ ukraińskie produkty rolne niskiej jakości rozłożyłyby europejskie rolnictwo. Z argumentacją tą trudno się nie zgodzić, pamiętając choćby przepychanki ze sprowadzanym do Polski ukraińskim zbożem. Biorąc pod uwagę opór ze strony Budapesztu, w Unii rozmyśla się nad tym, jak by tu ominąć węgierskie veto i rozpocząć rozmowy akcesyjne z Kijowem. Bierze się pod uwagę możliwość otwarcia negocjacji nie jednogłośnie, lecz przy poparciu kwalifikowanej większości głosów.

Mimo tych oporów węgierskie władze nie wykluczają jednak całkowicie zgody na przystąpienie Ukrainy do Unii – pod warunkiem, że tamtejsze władze w sposób rzeczywisty zabezpieczą prawa mniejszości węgierskiej na Ukrainie. Chodzi tu głównie o prawo do nauczania w swoim języku. „Nie bójcie się, wasza ojczyzna jest z wami" – pocieszał zakarpackich rodaków Orbán.

I tu widać różnicę w węgierskim i polskim podejściu do tej kwestii. Polskie władze bardziej interesują groby poległych niż żywi rodacy. Takie są skutki, gdy polityka historyczna dominuje nad dzisiejszą rzeczywistością.

Turecka polityka wobec Rosji i Ukrainy, ze względu na swoją elastyczność, zbliżona jest do amerykańskiej. W odróżnieniu od Węgier Turcja nie musi się liczyć z presją ze strony Unii Europejskiej, a pomimo przynależności do NATO prowadzi własną politykę zagraniczną niekoniecznie spójną z linią USA. Świadczy o tym choćby zakup rosyjskich – a nie amerykańskich – samolotów bojowych.

W kwestii konfliktu na Ukrainie Ankara nie opowiada się jednoznacznie za żadną ze stron i z obiema utrzymuje pragmatyczne stosunki. Może z lekkim przechyłem w kierunku Rosji, co można tłumaczyć powiązaniami gospodarczymi. Turcja co prawda stopniowo redukuje zakupy rosyjskiego gazu – jednak stanowi on nadal niemal 40 proc. całości importu. Jeszcze do niedawna dostawy ropy naftowej z Rosji pokrywały około połowy zakupów. Równocześnie Ankara utrzymuje kontakty z Kijowem, dostarczając drony Bayraktar – co Zełenski nazwał podwójnymi standardami. Tymczasem rozsądna polityka wymaga czasem elastycznego, a nie dogmatycznego podejścia. Zauważyła to ukraińska komentatorka Maryna Worotniuk, odnotowując, że Turcja ma swoje narodowe interesy i stara się być pomostem między Zachodem a Rosją. Zamiast popierać jedną ze stron konfliktu, ustawia się w neutralnej pozycji mediatora, doprowadzając do rozmów przedstawicieli Rosji i Ukrainy w Stambule.

W odróżnieniu od Turcji amerykańskie i węgierskie władze łączą trwałe więzi z Izraelem. W sierpniu Węgry wspólnie z USA głosowały przeciwko rezolucji Zgromadzenia Ogólnego ONZ określającej zasady pokojowego uregulowania konfliktu na Bliskim Wschodzie przewidujące utworzenie niezależnego państwa palestyńskiego. Przypomnę też, że Orbán odmówił wykonania wydanego przez Międzynarodowy Trybunał Karny nakazu aresztowania izraelskiego premiera Netanjahu, gdyby pojawił się on w Budapeszcie.

Węgry konsekwentnie realizują proamerykańską politykę, czego ostatnim przykładem jest brak węgierskiego podpisu pod wspólnym – wydanym w kontekście Wenezueli – oświadczeniem Unii Europejskiej o przestrzeganiu prawa międzynarodowego, które najwyraźniej nie spodobało się Orbánowi, gdyż dotyczyło Stanów Zjednoczonych.

Oczywiście działania Trumpa wobec Wenezueli i groźby pod adresem Grenlandii zmieniają wizerunek amerykańskiego prezydenta z biznesmena-negocjatora na agresywnego wojownika, co jest wyrazem kontynuowanego od lat strategicznego kursu polityki zagranicznej USA. Mimo to zachowuje on swoje ciągotki negocjacyjne wobec uzyskania dostępu do zasobów mineralnych Wenezueli i Grenlandii.

Przeciwko uchodźcom

Wszystkie te trzy kraje łączy ksenofobia graniczące z jawnym rasizmem. Przejawia się to w ostentacyjnej niechęci wobec imigrantów z innych kontynentów czy kręgów kulturowych. W USA i na Węgrzech odbywa się to pod hasłem ochrony własnego społeczeństwa przed nadmiernym – a nawet stosunkowo niewielkim – napływem uchodźców. USA stawiają mur na granicy z Meksykiem, a tych emigrantów, którzy już znaleźli się w Stanach, starają się deportować. W ubiegłym roku Trump zapowiedział zainicjowanie masowej deportacji milionów ludzi oraz mobilizację wojska i gwardii narodowej nie tylko w zabezpieczeniu granicy, lecz także w dokonywaniu przeszukań u osób zagrożonych deportacją.

Ostro przeciwko imigracji występują też władze w Budapeszcie. Ostatnio zapowiedziano tam, że Węgry nie przystąpią do unijnego programu dotyczącego uchodźców, przewidującego wybór przez kraj członkowski formy wkładu m.in. w postaci relokacji i wpłaty finansowej za każdego nieprzyjętego uchodźcę. Jak oświadczył Viktor Orbán, Węgry były jedynym krajem Unii, który powstrzymał nielegalną migrację, a teraz będą zmuszone do „okazania solidarności" tym państwom, które nie chroniły swoich granic. Węgry nie są jedynym krajem w Europie, który broni się przed uchodźcami – jednak czynią to w sposób bardziej ostentacyjny.

Nieco inaczej wygląda sytuacja w Turcji. Tam za główny problem uznawani są nie uchodźcy, ale mniejszość kurdyjska. Uchodźców z Syrii prezydent Erdoğan stara się „zagospodarować", oferując im przyjęcie tureckiego obywatelstwa i licząc zapewne na to, że będą na niego głosować w wyborach. W stosunku do Kurdów uważanych przez lata za terrorystów i wrogów państwa tureckiego złagodzono nieco podejście, oferując przetrzymywanym w więzieniach Kurdom amnestię w zamian za wyrzeczenie się działań zbrojnych. Ma to również aspekt zewnętrzny w kontekście kurdyjskich ugrupowań zbrojnych działających w Syrii. A na spokoju w tym kraju Turcji szczególnie zależy, jako że miała ona decydujący wpływ na obalenie poprzedniej władzy i usadowienie na czele państwa swojego poplecznika.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 4.02.2026 r.

eprasa.pl df91f9383b

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Mówią, że to farsa. Że skończył się pierwszy sezon komediowego serialu o Polsce 2050. Że śmichy-chichy i trzęsące się od rechotu wątroby. A ja uważam, że to tragedia w pięciu aktach. Szekspirowska. Zatytułowana „Hołownia".

Fabuła: Podczas konnego spaceru ministrant Hołownia z wiernym druhem Koboską natykają się na trzy wiedźmy – Muchę, Oliwiecką i Henning-Kloskę. Zwracają się do Hołowni per diuk, marszałek, prezydent i wysoki komisarz. Ten skromnie odpowiada, że jest prostym ministrantem z Białegostoku i komediantem z Tefałenu. Wiedźmy przepowiadają, że Hołownia osiągnie wszelkie zamierzone zaszczyty i ich nie straci, chyba żeby Las Birnamski wspiął się na wzgórze albo chuj na chuju stanął.

Po powrocie z przejażdżki Hołownię odwiedza Lady Nałęcz i namawia go do wielkich czynów, grając na jego ego jak na gitarze elektrycznej. Kobosko próbuje chłodzić te rozgrzane ambicje, lecz ziarno kariery zostało już zasiane.

Hołownia bez trudu buduje partię polityczną, która zyskuje uznanie i popularność. Jej lider zostaje marszałkiem parlamentu, jest znany jak Ed Sheeran, Dawid Podsiadło i Hubert Hurkacz.

Lady Nałęcz przekonuje marszałka do startu w wyborach prezydenckich. Ponosi on jednak klęskę. Pierwszy raz śni mu się Las Birnamski, a w nim chuj stojący na chuju.

Ucieka się do pomocy zbójów złamanych: Kaczyńskiego, Kamińskiego i Bielana. Biesiaduje z nimi, daje się wodzić na pokuszenie, lecz ostatecznie zatrzymuje się wpół kroku. Robi dobrą minę do złej gry.

Zgodnie z umową koalicyjną przestaje być marszałkiem. Las Birnamski przychodzi doń we śnie prawie każdej nocy.

Lady Nałęcz zachęca go do porzucenia partii i kandydowania na wysokiego komisarza ONZ. Wierny Kobosko nie podziela wiary i nadziei Lady Nałęcz, spotyka się z Duncanem, czyli Tuskiem. Rozczarowany Hołownia nazywa towarzysza zdrajcą. Teraz już nawet na jawie słyszy, jak drzewa z Lasu Birnamskiego groźnie szeleszczą, zbliżając się do wzgórza. Katastrofa wisi na włosku.

Wreszcie rzecz się dokonuje, a przepowiednia spełnia: baronowa Hołowniowa odchodzi z wojska, sir Hołownia nie zostaje wysokim komisarzem, wycofuje się z wyborów na diuka partii, w których startuje nawet rycerz Petru i dwie z trzech wiedźm. Jednak na posadkę ma także chrapkę Lady Nałęcz…

Szumią jodły na szczycie góry Dunsinane, Hołownia stoi już nie jak sosna rozdarta, tylko jak zwykły kołek, od którego odwrócili się prawie wszyscy. Płacze nad własnym losem, jak płakał kiedyś nad konstytucją.

Koniec.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



U **JOANNY SENYSZYN** na Kanarach jest +20, u **AGNIESZKI WOŁK-ŁANIEWSKIEJ** na Żoliborzu –20. Strasznie im do siebie daleko...

Senyszyn: – Żart mi się przypomniał ze Związku Radzieckiego: facet z Moskwy dzwoni do kolegi w Jakucku: – Ile u was jest stopni? – Minus 18. – A w telewizji mówili, że minus 45! – To na zewnątrz...

Wołk-Łaniewska: – Jakbyś się nie wygrzewała na Kanarach, tylko cierpiała ze swoim ludem, jak imperatorce przystoi, to też byś mogła tak mieć, bo w Trójmieście elektrociepłownię szlag trafił…

– Ale padło tylko na Gdańsk i Sopot, Gdynia jest pod imperatorską ochroną… A poza tym przecież nie zapomniałam o swoich poddanych. Z okazji moich urodzin ogłosiłam dla wszystkich dzień wolny! Co prawda w niedzielę, ale poddani i tak się cieszyli: mój post obejrzało prawie pół miliona, a polubiło 20 tys.

– „Tu jej ekscelencja. Zarządzam święto państwowe"...

– A nie, państwowe będzie dopiero, jak zdobędziemy władzę. Wtedy zrobimy święto 1 lutego zamiast 6 stycznia…

– Zamieniając trzech króli na jedną imperatorkę. I bardzo słusznie, ten 6 stycznia ni go w dupę, ni go w oko, po gwiazdkowo-noworocznym maratonie można już cały tydzień przepracować. A na początku lutego każdemu się przyda jeden dzień pod kołderką.

– Jaką kołderką?! Będą się odbywały tłumne pochody na moją cześć!

– W lutym?! W taki mróz?

– Normalnie luty nie jest aż tak zimny. To wszystko przez te nakrętki.

– Jakie nakrętki?

– Nie widziałaś memów? „Nie sądziłam, że taką zmianę klimatu da się osiągnąć już w dwa lata po przyczepieniu korków do butelek"… I jeszcze: „Ludzie, odrywajcie te korki, bo zamarzniemy".

– Ja tam zawsze odrywam, od początku, na złość Ursuli. No i może dlatego Golfsztrom zamarza, jakby się dobrze zastanowić.

– Krótko mówiąc, to ty odpowiadasz za ten mróz?

– Nie mogę tego wykluczyć. Teoria załamania Golfsztromu mnie absolutnie fascynuje, bo tłumaczy logicznie, dlaczego jest zimniej, bo jest cieplej. Golfsztrom jest obecnie najsłabszy od 1600 lat, z powodu topniejących lodowców Grenlandii i coraz większej ilości słodkiej wody wpadającej do oceanów. Przez to wszystko zimna woda nie opada na dno, jak wcześniej, i prąd traci impet. Jak całkiem straci, to klimat w północnej Europie będzie jak na Syberii. To się wydarzyło już wielokrotnie, między 115 tys. i 12 tys. lat temu, a badania sprzed paru lat wskazywały, że następny raz może być w 2025 r. Pomylili się o tydzień.

– To już wiemy, dlaczego Trump tak się zaparł na Grenlandię. Chce ukryć dowody katastrofy klimatycznej, którą nazywa wielkim oszustwem. Może też planować ustawienie tam wielkich agregatów chłodzących, które powstrzymają topnienie lodowca, pod warunkiem że Europa za to zapłaci…

– Kupując w tym celu gaz z USA, sześć razy droższy niż rosyjski, jak obliczył ostatnio Jeffrey Sachs… Z drugiej strony – poważnie wątpię, czy teoria załamania Prądu Zatokowego znalazła drogę do zdemenciałego umysłu Przywódcy Wolnego Świata… Zmieniając temat: pan Tomek dziękuje nam za polecenie „Było sobie kłamstwo" i uprzejmie prosi o dalsze rekomendacje filmowe, zwłaszcza komediowe.

– Trudno mi coś polecić, bo teraz nie jestem w stanie obejrzeć w całości żadnego filmu, który kiedyś mi się podobał. Prawie wszystkie wydają mi się ramotami. Chyba zmienił mi się gust, ale nie wiem na jaki, bo nowe też mnie denerwują. W zasadzie ostatnio podobały mi się dwa: „Trzy billboardy za Ebbing. Missouri" z rewelacyjną rolą Frances McDormand i „Lepiej późno niż później", w którym też grała. To wspaniała aktorka i – co jest absolutną rzadkością w amerykańskim kinie – zachwyca osobowością, a nie urodą.

– I trzy razy dostała Oscara – nagrodę, której nie poważam, bo to amerykański cyrk korporacyjny, ale jednak. To szczególnie godne odnotowania, bo McDormand nie ma tego specyficznego „faktora gwiazdorstwa", który mają inni rekordziści: Jack Nicholson czy Katharine Hepburn.

– Dużo wiesz, jak na nagrodę, której nie poważasz...

– E tam wiem, właśnie w necie sprawdziłam. Wracając do filmów do polecenia: ja powiem „Dogma". To jest taki cudowny film Kevina Smitha, bodaj z 1999 r., ale do Polski trafił w 2000. Co pamiętam bardzo dobrze, bo był to pierwszy tekst, który napisałam w „NIE"; o tym, jak Kościół szaleńczo zwalcza jedną komedię.



Rys. WIDGET

– Wtedy jeszcze można było liczyć na agencję promocyjną Kościół kat. sp. z o.o., która niezawodnie nagłaśniała wszystkie dzieła i wydarzenia, jakie uznawała za antykatolickie.

– Katolski magazyn „Faith & Family" umieścił nawet „Dogmę" w pierwszej dziesiątce antykatolickich filmów wszech czasów, między „Siostrami magdalenkami" o kościelnych obozach koncentracyjnych dla upadłych dziewcząt w Irlandii i „Ostatnim kuszeniem Chrystusa". A śmieszność polega na tym, że film jest rzeczywiście antykatolicki – ale nie jest ateistyczny. Występuje tam nawet bardzo sympatyczny bóg, który jest kobietą i gra go Alanis Morissette. A niezapomniany wielki George Carlin gra kardynała, który postanowił odesłać ponury krucyfiks na emeryturę i zastąpić go radosną figurą „Chrystka". Polecamy.

– A tak swoją drogą: czy nie jest miło zauważyć, iż Kościół tak się odarł z autorytetu, że cokolwiek robi, odnosi odwrotny skutek? W Polsce między powszechnymi spisami w 2011 i 2021 r. stracił prawie 7 mln wiernych. Ta lawina idzie nadal i już się nie zatrzyma, ale wielu polityków tego nie widzi i nie rozumie. Żądanie likwidacji przywilejów finansowych Kościoła kat. ma poparcie większości społeczeństwa, a jednak żaden klub nie ma odwagi złożyć projektu ustawy, który jest gotowy, bo go składałam w 2020 r., ale marszałkini Witek nawet mu nie nadała numeru druku. Kosiniak-Kamysz jak torpedował, tak nadal torpeduje prace nad likwidacją Funduszu Kościelnego. Wszyscy się boją.

– To prawda, choć dalibóg nie wiem czego, bo Kościoła już prawie nikt w Polsce nie słucha. Nie tylko w kwestiach aborcji, antykoncepcji czy rozwodów…

– Bo w tych akurat Polacy nigdy nie słuchali…

– Prawda. A teraz olewają kler także w sprawach politycznych, w których czarni kiedyś mieli dużo do powiedzenia. Ale politykom został ten głupi odruch, jak niektórym dorosłym dziecięcy strach przed ciemnością. Ubawił mnie ostatnio do łez min. Motyka, który wziął udział w konferencji rzecznika rządu, żeby pochwalić się projektem nowelizacji prawa energetycznego – ale musiał się wbić w dyskusję o krzyżu z Kielna…

– Plastikowym, z drukarki 3D, który młodzież dla beki powiesiła nad klatką chomika, a nauczycielka wyrzuciła do kosza?

– Tym właśnie, pozostałością po stroju mnicha ze szkolnego balu przebierańców. Ale zanim to wszystko się wyjaśniło, jedna z prawackich stacji zapytała o to Szłapkę, który zareagował nadspodziewanie sensownie, mówiąc, że sprawy nie zna, ale zbada. Za to Motyka rzucił się sygnalizować cnotę: „Wyciąganie wniosków przez państwa stację, że jest jakiekolwiek przyzwolenie na takie akty, jest dalece nieuprawnione, nieprawdziwe".

– Teraz w PSL wszyscy zachowują czujność, bo ciotka Kosiniaka-Kamysza kandyduje na świętą. Ale zmieniając temat. Byłam na shoppingu i kupiłam sobie czerwony zegarek z przeceny.

– Dużej?

– Zamiast 189 zapłaciłam 159 euro.

– To co to za przecena? Moja mamusia, która jest entuzjastką przecen, by tylko prychnęła. Takie głupie 15 proc. to żadna okazja…

– Ale za to jest śliczny. Bardzo się cieszę, a co najważniejsze nie trzeba go będzie wykazywać w oświadczeniu majątkowym, z czym posłowie mają, jak wiadomo, poważne kłopoty.

– Też kiedyś kochałam kupować zegarki. Potem niestety kupiłam sobie smartłocza i teraz on przejął kontrolę nad moim życiem. „Spróbuj wstać" – radzi mi nieco pogardliwie, jak siedzę sobie wygodnie na kanapie i oglądam trwającego 170 minut „Ojca chrzestnego", co robię od czasu do czasu, bo kocham. A jak wstanę, bo muszę iść do kibla, to mnie chwali protekcjonalnie: „Brawo, znowu żyjesz aktywnie!".

– Wyrzuciłabym przez okno.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl df91f9383b